Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 78 | 1 października, 1944 | Cena (Price) 1/-

NARODY ZJEDNOCZONE?

JEŻELI świat powojenny ma tak się zjednoczyć, jak teraz są zjednoczone 'Narody Zjednoczone" oraz jak ich zjednoczenie po wojnie wyobraża sobie najgłośniejszy amerykański pisarz polityczny p. Walter Lippmann (w książce swojej, wydanej w marcu 1944 w Ameryce, *U.S.A. War Aims*), to z jednej strony szkoda tych bezsennych nocy, które Prezydent Roosevelt spędził wymyślając tę piękną nazwę, z drugiej zaś — niech wszyscy "zjednoczeni" przygotują się co rychlej do jeszcze jednej — Trzeciej — Wojny Światowej. Nie jest zresztą wykluczone, że niektórzy z nich już teraz to czynią i prawdopodobnie sam autor amerykański do nich należy i, w myślach na razie, do tej wojny zmierza, ukrywając tymczasem swoje zamiary pod osłoną frazesów pełnych braterstwa i pokoju.

Rzeczoznawca bowiem i projektodawca polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, p. Walter Lippmann, w swoim programie regulacyj powojennych, dzieli świat na kilka wielkich bloków, wyrastających z podłoża różnych cywilizacyj historycznych. Obszar cywilizacji zachodnio-europejskiej, czyli łacińskiej, ma posłużyć za tło wielkiego zespołu państw i narodów, któremu autor daje nazwę Społeczności Atlantyckiej (*Atlantic Community*). Społeczność owa miałaby objąć obie Ameryki, Unię Południowo-Afrykańską, Australię z Nową Zelandią i Filipiny dalej na Oceanie Spokojnym, w Europie zaś Belgię, Wielką Brytanię, Danię, Francję, Grecję, Hiszpanię, Irlandię, Islandię, Luksemburg, Norwegię, Portugalię, Szwajcarię, Szwecję i Włochy. Poza Społecznością Atlantycką p. Lippmann widzi jeszcze: Orbitę Rosyjską o podstawie cywilizacji bizantyńskiej, muzułmańską, hinduską i chińską.

Błąd zasadniczy tkwi w samej koncepcji politycznego podziału świata na bloki cywilizacyjne. Podział taki stwarza bowiem automatyczny mechanizm prowadzący do wojen. Świat podzielony w *polityce* wedle *cywilizacyj i ras* z konieczności dążyć musi do wyjaśnienia, która cywilizacja i jaka rasa jest lepsza od innych i najlepsza. Podział taki byłby tylko wodą na młyn zarówno dla rasistów jak i dla wojujących komunistów, budujących, jak wierzą, nową, lepszą cywilizację. Dotąd społeczność państw cywilizowanych nie uwzględniała wogóle pierwiastków rasowych i różnic cywilizacyjnych w swoim kodeksie pojęć, przepisując wszystkim narodom bez względu na rasę i cywilizację ten sam minimalny *standard* urządzeń państwowych, społecznych i międzynarodowych.

Nas jednak w ogłoszonym już schemacie interesuje przede wszystkim Europa, która dotąd uważana była za jedność w znaczeniu moralnym i która teraz — w projekcie amerykańskiego eksperta — ma być podzielona nie wedle pojęć cywilizacyjnych, ale strategicznych.

I tu p. Lippmann dokonywa wyraźnego nadużycia pojęć i argumentów cywilizacyjnych, gdyż *podstawą* jego rozważań nie są wcale wartości cywilizacyjne, ale wojenne i handlowe interesy wielkiej Republiki Amerykańskiej. Dopóki cywilizacja łacińska pokrywa się z kręgiem materialnych i doraźnych interesów Stanów Zjednoczonych, ważne są kryteria cywilizacyjne, kiedy zaś cywilizacja łacińska zdaje się nie oznaczać korzyści dla, handlu amerykańskiego, wyrzuca się cywilizację za burtę i żegluje się na falach strategii, zysków z eksportu i . . . własnych pobożnych życzeń. Oto bowiem Filipiny należą do świata europejskiego, ale w Europie Finlandia, Polska, Czechosłowacja, Austria, Węgry i całe Bałkany — z wyjątkiem Grecji — do tego świata nie należą. Wejść one mają w skład bloku rosyjskiego — o podstawie cywilizacyjnej rzekomo bizantyńskiej — gdyż tak każe strategia.

Punktem wyjścia w rozważaniach amerykańskiego pisarza są dwie wojny z Niemcami, prowadzone przez Stany Zjednoczone w czasach obecnych. Gdyby Niemcy pobiły w 1940 r. Wielką Brytanię, opanowałyby równocześnie Afrykę i Amerykę Południową i wtedy Stany Zjednoczone znalazłyby się w sytuacji bardzo trudnej. Zapomina jednak p. Lippmann, że gdyby Niemcy nie musiały rozprawiać się w 1939 r. z Polską, Wielka Brytania *mogła* być pobita wtedy czy o rok później. Rozszerzenie horyzontu politycznego w tej części Europy na Związek Sowiecki nic w tej ocenie zmienić nie może.

Więc rozumując tak płytko, autor amerykański tłumaczy światu, że Stany Zjednoczone muszą wejść w ściślejsze porozumienie z Wielką Brytanią i całą Zachodnią Europą, Środkową zaś Europę, cywilizacyjnie należącą do Zachodniej, powinny odstąpić ze względów strategicznych Rosji. Granica wschodnia bezpieczeństwa amerykańskiego leżała do 1940 r. na zachodniej granicy Niemiec, przesunięcie zaś tej granicy zależy, zdaniem p. Lippmanna, od uregulowania problemu niemieckiego.

Granica dwu społeczności cywilizacyjnych w Europie zakreślona przez p. Lippmanna nie wytrzymuje jednak krytyki z tego punktu widzenia, nawet na poziomie szkoły średniej ogólnokształcącej. Jest to w rzeczy samej koncepcja nie *Atlantic Community*, ale *American Co-Prosperity Zone*, która ma zagwarantować eksploatację globu ziemskiego interesom finansowym i przemysłowym amerykańskim z wyłączeniem Sowieckiej Rosji i krajów ofiarowanych jej tytułem *bakshish*, by nie mieszała się gdzieindziej.

Granica cywilizacji zachodniej w Europie nie przebiega wcale na Renie, ani nawet na Odrze, ale wzdłuż wschodnich granic Polski, Finlandii i Rumunii. Z krajów, które ekspert amerykański ofiaruje Rosji, zachodnie całkowicie są: Finlandia, Litwa, Polska, Czechosłowacja, Austria i Węgry, częściowo zaś łacińskie Rumunia i Jugosławia. Instytucje zaś cywilizacji bizantyńskiej na Bałkanach, z Bułgarią włącznie, są dziś, po okresie XIX wieku wyzwolenia i współżycia z Europą Zachodnią, o wiele bliższe światu łacińskiemu, niż porewolucyjnej Rosji. Przy największym bowiem respekcie dla materialnych wyników przemian rosyjskich nie można już dzisiaj powiedzieć, żeby Rosja należała jeszcze do cywilizacji bizantyńskiej. Jej nowa cywilizacja zerwała bardzo stanowczo i konsekwentnie z pierwiastkiem chrześcijańskim, który jest głównym elementem cywilizacji Bizancjum.

Jeżeli jednak autor amerykański rozdziera tak bezwzględnie, wbrew swoim własnym słowom, żywe ciało Europy łacińskiej, to może przynajmniej ratuje pokój i pokojowy rozwój tak podzielonego świata? Jak wyżej zaznaczyliśmy jednak, sama zasada takiego podziału musi wywołać nową wojnę. Sprawa ta przedstawi się jeszcze wyraźniej, jeżeli poddamy analizie podział samej Europy z punktu widzenia strategii.

Więc przede wszystkim przeciw komu mają dawać zabezpieczenie nowe granice, skoro w projekcie p. Lippmanna nowe

Niemcy mogą być co najwyżej przyczepką do *Atlantic Community*? Oba bloki przecież będą tak potężne, iż Niemcy im naprawdę zagrozić nie będą już w stanie? Więc granice strategiczne przeciw komu?

Chyba jednego bloku przeciw drugiemu? W tym świetle podział ten ukazuje się niesłychanie interesująco. Weźmy np. sprawę Grecji, która jest kolebką cywilizacji bizantyńskiej, która jednak w schemacie Amerykanina trafia jakoś dziwnie do świata atlantyckiego. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że tuż za Grecją rozciąga się Morze Śródziemne, które daje dostęp do Afryki i do Azji Przedniej. Rozumiemy zatem bardzo dobrze prawdziwe intencje p. Lippmanna i jego tak precyzyjne określenie Społeczności Atlantyckiej jako społeczności morskiej a sfery rosyjskiej jako lądowej. Czyż jednak ogromne mocarstwo lądowe, kontrolujące, wedle projektu autora z Ameryki, 250 milionów bitnej i pracowitej ludności zatrzyma się o kilkadziesiąt kilometrów od brzegu morskiego, żeby tylko nie psuć p. Lippmannowi jego delikatnego schematu?

Zdaje się jednak, że autor amerykański nie jest ani tak naiwny, ani po małomiasteczkowemu chytry, jakby to z gramatycznej interpretacji jego wywodów wynikało. Prawdopodobnie łączy on z koncepcją bakszyszu dla Rosji — by nie zaglądała do Afryki i nie zbliżała się do brzegów morskich Azji Przedniej — równocześnie koncepcję zastępczą, na wypadek gdyby tamta się nie udała. Oto kraje cywilizacji zachodniej włączone w obszar strategiczny rosyjski miałyby wtedy za zadanie odegranie wewnątrz tego obszaru roli konia trojańskiego na rzecz *Atlantic Community*. Cierpień i łez ludzkich przy takim przesuwaniu granic cywilizacyjnych p. Lippmann i jemu podobni nie liczą. Odeszli oni daleko od idealizmu Deklaracji Amerykańskiej z 1776 r. i idealizmu Wilsona, wyrażonego w pierwotnym projekcie Ligi Narodów.

Gdyby Rosjanie zachowali byli swoje związki kulturalne ze światem cywilizacji śródziemnomorskiej, i drogą przez Bizancjum ze starożytnym Rzymem, można by przypomnieć im łacińskie *Timeo Danao et dona ferentes*, brak jednak studiów klasycznych w nowej cywilizacji rosyjskiej nie pozwala żywić pod tym względem nadziei.

A jednak od Rosji także zależy, czy u jej zachodnich granic znajdą się narody niepodległe, przez których dzierżawy trudno było by przeprowadzić wyprawy krzyżowe nawróconym na nowe atlantyckie chrześcijaństwo komiwojażerom; czy też wewnątrz jej granic w Europie, i choćby na Syberii, powstanie nowoczesna "*piąta kolumna*".

SOJUSZ

W podobnym duchu nieszczerości co świeże dzieło Waltera Lippmanna, napisany został jeden z bardziej znamiennych ostatnio artykułów wstępnych londyńskiego *The Times*, a mianowicie z dnia 31 sierpnia 1944, p.t. *Sprzeczne cele*. Pomimo kilku tygodni, które dzielą niniejsze wydanie *Myśli Polskiej* od tego artykułu, nie wahamy się zanotować tu jego najważniejszego ustępu. Artykuł został tylko streszczony w *Dzienniku Polskim*, który zresztą nie zajął żadnego stanowiska wobec wystąpienia najważniejszego dziennika Imperium Brytyjskiego. A chodzi o sprawę ważną.

Mianowicie przeczytaliśmy w *The Times*:

"Zarówno Wielka Brytania jak i Stany Zjednoczone okazują się zgodnie ze swoją tradycją wrażliwe na bezpośrednią interwencję jakiegokolwiek innego Mocarstwa w pewnych rejonach, uważanych przez nie słusznie za istotne dla ich bezpieczeństwa. Byłoby więc tym bardziej nie do usprawiedliwienia, gdyby one miały niedostrzegać takiej samej i tak samo uprawnionej wrażliwości Rosji, wobec niezależnej akcji innych Mocarstw na jakichkolwiek terytoriach leżących pomiędzy jej granicą i Rzeszą Niemiecką."

Należałoby właściwie odetchnąć z ulgą, iż *The Times* nie jest organem Rządu brytyjskiego i nie wyraża poglądów, które *ipso facto* odtwarzają poglądy tego Rządu. Tak często nas Brytyjczycy zapewniają o tej niezależności prasy, dodatkowo jeszcze gwarantowanej jeśli idzie o *Times* przez specjalny statut fundacyjny tego pisma, iż nauczyliśmy się wreszcie tych potrzebnych rozróżnień. Nie ulega bowiem wątpliwości, że poglądy *The Times* są jaskrawo sprzeczne z literą i duchem sojuszu brytyjsko-polskiego, dotychczas obowiązującego i przez Wielką Brytanię niewypowiedzianego. Gdyby Wielka Brytania uważała była w 1939 r., że nie może interweniować bezpośrednio w rejonach między granicami Rosji i Niemiec, nie byłaby napewno była zawarła sojuszu z Polską, który stał się podstawą jej realizowanego dziś zwycięstwa nad Niemcami. Nie można zaś zgoła przypuścić, żeby Rząd Wielkiej Brytanii zechciał teraz, po pięciu latach krwawych bojów ramię w ramię obu narodów, zejść ze stanowiska obwarowanego tak uroczyście traktatem międzynarodowym w 1939 r. — na stanowisko redaktorów *The Times* w 1944 r. Równałoby się to bowiem niedotrzymaniu sojuszu. Tych pięć prostych słów "niedotrzymanie sojuszu przez Wielką Brytanię" stanowiłoby tak wielki przewrót w życiu międzynarodowym, iż równałby on się wkroczeniu Niemiec w 1939 r. na drogę łamania przyjętych zobowiązań.

ORIENTACJE

WOJNA poprzednia zastała Polskę rozdartą przez trzech zaborców, którzy wystąpiwszy do walki przeciw sobie, zmusili ją do wzięcia też udziału w imię własnego zwycięstwa. I Polacy znaleźli się na wszystkich frontach, walcząc dla sprawy Polski, brat przeciw bratu . . . Tragedia tej walki bratobójczej nie zakończyła się razem z wojną. Jej dziełem były bowiem tzw. orientacje, które zaszczepiły na polskiej ziemi obce poglądy i wpływy, cudze metody pracy, niejednolitą szkołę kultury. W wolnej Polsce ścierały się długo jeszcze wzajemnie duchy Niemiec, Austrji i Rosji, widzialne nawet dla oka w państwowym aparacie, w ustroju społecznym i w życiu narodowym Polski.

Dopiero może pod koniec okresu odrodzenia, Polska poczęła żyć własnym życiem, to jest radować się po polsku ze wszystkiego co rozkwitało i zwalczać swe niedociągnięcia z polskiego punktu widzenia. Zwyciężył wewnętrzny pion narodu, i Polska stała się jednolitą, wspólnie i tak samo miłującą swój kraj, pomimo różnic politycznych czy społecznych, cała gotowa do jego obrony.

Zresztą, wybuch wojny dowiódł tego niezbicie. Mimo że napad Hitlera zastał państwo polskie nieprzygotowane do wojny z Niemcami, naród, jak jeden mąż, stanął do walki, świadom gdzie jego wróg, nawet gdy ten nieoczekiwanie się . . . rozdwoił! I gdy 17-go września Polska została znów rozdarta, tym razem na dwie części, cały naród przywdział podwójną żałobę i czy zstąpiwszy pod ziemię, czy poszedłszy na wygnanie, ślubował nie oddać ani piędzi ziemi, niezależnie kto i skąd jej zagroził. W tej nowej, niezmiernej, nieobjętej wyobraźnią, tragedii Polski jedna tylko pozostała jej otucha — zjednoczenie narodu, wewnętrzna łączność wszystkich jego części, czy to w kraju czy na emigracji, i wspólny cel wszystkich Polaków, jakim jest odbudowa Polski.

Niestety, zły los, który zwalił się na Polskę, nie oszczędził jej ostatniego nieszczęścia, tj. powrotu orientacyj, orientacyj które z rozwojem wypadków poczęły znów toczyć i drążyć organizm Polski, dzieląc i różniczkując Polaków, zwłaszcza na emigracji w Londynie. I, rzecz ciekawa, rozkład ten rozpoczął się z chwilą, gdy wydawać się mogło, że dola wojenna Polski zelżeje, albowiem jeden z jej zaborców, napadnięty przez drugiego, przeszedł z konieczności do obozu aliantów i nawet obiecał być jej sprzymierzeńcem. Ta pozorna ulga stała się jednak źródłem rozdwojenia myśli politycznej Polski. I odrodziły się orientacje, tylko w innej linii podziału, gdyż dzielącej Polaków nie według ich poglądów geograficzno-politycznych, lecz zależnie od ich dążenia do niepodległości, albo też podległości ich ducha i braku uczucia narodowej jedności. Bo treścią orientacyj dzisiejszych — trzeba to wreszcie powiedzieć wyraźnie — jest *kollaboracjonizm*, albo *samodzielność*.

Dawniej orientacje licytowały się poprzez korzyści dla Polski, czyto manifestem Ks. Mikołaja Mikołajewicza, czy akcją legionową, czy nawet pozornym liberalizmem zarządzeń gen. Beselera w Warszawie; dziś każą one tylko iść na ustępstwo z połowy Polski i na grożącą zamianę drugiej jej połowy na Republikę sowiecką, wiodąc Polaków w imię międzyaliancklej harmonii prostą drogą do zaparcia się wolnej Ojczyzny.

Nie znaczy to bynajmniej, by ktokolwiek z Polaków nie chciał porozumienia z Rosją, bo każdy chyba jest świadom potrzeby zgodnego współżycia z możnym sąsiadem wschodnim. Natomiast żadnemu z Polaków a tymbardziej na odpowiedzialnych stanowiskach, nie wolno popełnić aktów, któreby poddały Polskę Sowietom i tym samym przekreśliły ją nawet jako partnera porozumienia.

Podobnie, wszyscy Polacy są przekonani, że alians z Anglią jest i musi już być zawsze podstawą polskiej polityki. Lecz przecież każda umowa jest dziełem ludzkim, więc może ulegać wahaniom w wykonaniu. Czyli również znaczenie aliansu polsko-angielskiego może chwilowo osłabnąć i wówczas należy alians podeprzeć, kiedy indziej może on być błędnie interpretowany i wówczas wymaga wyjaśnienia, ale zawsze dla tego samego,

zasadniczego celu, jakim jest, z polskiego punktu widzenia, korzyść dla Polski. I jest zaprawdę brakiem uznania dla angielskich mężów stanu mieć przekonanie, że dla nich alians to tylko bierny posłuch ze strony klienta. Zresztą, Wielka Brytania umie dostatecznie dobrze dbać o swoje interesy, tak że nikt obcy niema powodu zajmować się nimi, chyba że się rozchodzą z interesami alianta. Wówczas jego zadaniem jest wykazać tę rozbieżność i wspólnie szukać drogi, na którejby one znikła.

Lecz nadto trzeba wyznawać orientację samodzielności. Otóż, tragicznym skutkiem układu stosunków londyńskich, Polacy o poczuciu samodzielności, jako duchowo niezależni, krytyczni i oporni ,zostali usunięci na bok, oraz pozbawieni wpływów i siłą faktów znaleźli się w opozycji, podczas gdy rząd w otoczeniu swych adlatusów i drabantów, z czeredą publicystów i faktorów, przyjął wygodną postawę kompromisu i ugody, która w stosunku do Wielkiej Brytanii wyraża się w rezygnacji, a wobec Sowietów chyli się ku zasadzie . . . *unconditional surrender* !

Albowiem polityka samodzielności wymaga przedewszystkiem charakteru ! I nie jest to polityka kwietyzmu. Żąda walki ustawicznej, często niepopularnej. O ileż łatwiej wskazywać na niepopularność tych, którzy niebaczni wspomną jeszcze czasem Polskę "całą i niepodległą". Śmiałkowie tacy są skazani natychmiast na ostracyzm we własnych urzędach, i traktowani są jako kąkol, przez "polityków realnych" i praktycznych kollaboracjonistów, z których rekrutuje sie nieraz otoczenie premiera i poszczególnych ministrów.

Przecież w otoczeniu rządu roi się od obcych ajentów, świadomych i nieświadomych, na moralnym lub nawet materialnym obcym żołdzie, którzy w postaci przyjaciół, lub podsuniętych przyjaciółek, mącą proste i zdrowe polskie poglądy, albo też zadomowani w pierwszorzędnych hotelach czy rozparci w fotelach klubowych sączą fałszywe wskazania pod pozorem specjalnych informacji i znajomości sytuacji międzynarodowej. Zresztą oddawna znaleźć ich można było nawet na stanowiskach urzędowych, gdzie tolerowani przez władze zwierzchnie działali wprost na szkodę polskiego państwa.

Jednocześnie rząd, w każdym razie *in capite*, jeżeli nie *in membris*, przedstawia się emigracji londyńskiej, a co gorzej i opinii kraju, jako wyłączny, wyjątkowy, jedyny, który Anglia uznaje i wogóle uznać zechce, monopolista uczuć angielskich, jakgdyby brytyjskich mężów stanu nie było stać na co innego, jak tylko na . . monogamię. z panem Mikołajczykiem !

Czy nie jest to jednak zbyt samolubne samochwalstwo ? A raczej czy nie jest to przyznaniem się pana Mikołajczyka i jego kompanii, że istotną ich ambicją i istotnym dążeniem rządu jest trwać i przetrwać.

I gdyby chociaż taka rola rządu polskiego przynosiła zyski. Gdyby istotnie rząd polski w Londynie, a specjalnie jego premier, samym zjawieniem się we *Foreign Office*, otwierał sezamy łask i zyskiwał skarby zrozumienia. Lecz wydaje się, że nawet samemu panu Mikołajczykowi byłoby trudno przyświadczyć, iż dzięki jego osobistym wpływom i zaletom, doszło do porozumienia z Sowietami, lub że rząd brytyjski przejął się powstaniem w Warszawie.

Czyli usłużność bez wynagrodzenia ! Czyż naprawdę warto hołdować jej, ot tak, dla zasady, z przekonania, uprawiać ją jako "sztuka dla sztuki ?" Czy nie czas już, gdy Warszawa ginie jako ludność i jako miasto, aby rząd porzucił wreszcie podległość ducha i przeszedł na orientację jedyną jaką mieć winien, to jest na orientację Polski ? Znaczy to, że jest już czas najwyższy, aby rząd pana Mikołajczyka odszedł wreszcie w niepamięć a przyszedł rząd inny, nowy, młodszy szczerością swego postępowania, który zabarwi życiem spopielały obecnie alians Polski z Anglią, i zdoła rozgrzać stosunki z nią do temperatury, jaka istniała z początkiem wojny, w ciężkich i trudnych dniach niepokoju.

W tym celu nowy rząd musi przedewszystkiem zdobyć się na akt woli i stać się rzetelnym przedstawicielem bohaterstwa i aspiracyj kraju, a także nauczyć się oceniać i rozgraniczać co jest polskie a co jest obce : musi przejść na orientację duchowej niepodległości, która jedynie może doprowadzić do istotnej niepodległości Polski.

PROTEUSZ

15-go września 1944.

CHŁOPI, LUDOWCY I REFORMA ROLNA

W POLITYCE PARTII KOMUNISTYCZNEJ

(Słowo od tłumacza: *Zagadnienie to przedstawione jest poniżej w serii cytatów z oficjalnego sowieckiego dzieła "Historia Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego (Bolszewików) — Kurs skrócony, zredagowany przez Komisję Centralnego Komitetu K.P.Z.S. (B.), zatwierdzony przez C.K.K.P.Z.S. (B.)". W zestawieniu niniejszym nie chodzi zresztą o ocenę faktów, która — nota bene — w Związku Sowieckim musi być jednolita dla wszystkich i podzielana przez wszystkich obywateli zarówno w ich wystąpieniach prywatnych jak i publicznych. W krajach natomiast nie rządzonych totalitarnie obywatele mają prawo oceniać fakty polityczne wedle swojego własnego rozumu czy sumienia. Nasi Czytelnicy nie muszą zatem zgadzać się z tą oceną działalności sowieckiej Partii Komunistycznej, jaka została wyłożona w "Historii K.P.Z.S. (B.)", a więc i w poniższych cytatach. Znajomość faktów z historii rewolucji rosyjskiej i państwa sowieckiego jest zresztą wśród Polaków — jak wolno mniemać — dość rozpowszechniona i napewno liczni Czytelnicy będą mogli porównać swoją wiedzę tej historii, zaczerpniętą z autopsji — z własnych przeżyć i doświadczeń, z wiedzą oficjalną wykładaną w tej książeczce przez stronę zainteresowaną.*

Nam chodzi natomiast o program komunistyczny i metody jego realizacji, które z natury rzeczy we wszystkich przyszłych działaniach komunistów opierać się będą na doświadczeniach rosyjskich. Ostatecznie politycy, urzędnicy i oficerowie sowieccy uczą się polityki zarówno zagranicznej jak i wewnętrznej na "Historii K.P.Z.S. (B.)", którą znają na wylot, właściwie na pamięć, w jej kategoriach rozumując, mówiąc i działając. Na pewno więc nie od rzeczy będzie, jeżeli przy pomocy cytatów przynajmniej poinformujemy o zagadnieniach określonych w tytule niniejszego szkicu, tych naszych Czytelników, którzy usprawiedliwiając się brzemieniem władzy i trudów publicznych nic nie studiują i niczego się nie uczą, żywiąc zresztą w prostocie ducha głębokie przekonanie, że ich formalne stanowiska dają im ipso facto mądrość całkowicie wystarczającą do rozwiązywania wszystkich zagadnień. Aktualność naszej inicjatywy zaostrzyć może okoliczność, iż ci nasi Czytelnicy dla których się trudzimy, są albo mogą być w zagadnieniach wsi i ruchu politycznego ludowców zainteresowani bezpośrednio i nawet osobiście.

Tłumaczenia dokonano z autoryzowanego tekstu angielskiego, opublikowanego w Związku Sowieckim w 1939 r.

M. R.)

WALKA UMYSŁOWA Z LUDOWCAMI W XIX W.

"W miarę, jak w Rosji rozwijał się kapitalizm, klasa robotnicza przekształcała się w dużą i rozwiniętą siłę, zdolną do prowadzenia zorganizowanej walki rewolucyjnej. Ludowcy[1]) nie rozumieli jednak kierowniczej roli klasy robotniczej. Ludowcy rosyjscy utrzymywali błędnie, że główną siłą rewolucyjną nie jest klasa robotnicza, ale chłopi, i że sama rewolucja chłopska obalić może panowanie cara i obszarników. Ludowcy nie znali klasy robotniczej i nie zdawali sobie sprawy, że sami chłopi nie mogą pokonać caryzmu i obszarników — bez sojuszu z klasą robotniczą i bez jej przewodnictwa."

"Ludowcy przeszkadzali klasie robotniczej w rozumieniu jej roli kierowniczej w rewolucji i opóźnili powstanie niezależnej partii klasy robotniczej . . . Marksizm w Rosji mógł więc rosnąć i zyskiwać na sile tylko w walce z ludowcami."

"Grupa "*Emancypacji Pracy*"[2]) zainicjowała walkę z błędnymi poglądami ludowców i wykazała, jak bardzo ich poglądy i metody walki były szkodliwe dla ruchu klasy pracującej."

"Plechanow wykazał, że poglądy ludowców na cały bieg historii ludzkości były błędne i szkodliwe. Nie znali oni ani nie rozumieli praw gospodarczego i politycznego rozwoju społeczeństw. Pod tym względem byli całkowicie niedorozwinięci (*quite backward*)".

"Plechanow ustalił, że rewolucjoniści opierać powinni swoje główne nadzieje na proletariacie i jego rozroście.

"Dlaczego na proletariacie ?

---

[1]) Po rosyjsku *narodniki*, od słowa *narod* — lud.

[2]) Grupa "*Emancypacji Pracy*" powstała w 1883 r. Uważana jest ona obecnie w Rosji Sowieckiej za prekursorkę Partii Komunistycznej. Na czele grupy stał utalentowany pisarz polityczny Plechanow, uznawany choć często krytykowany przez Lenina, włączony obecnie do panteonu sowieckiego.

"Ponieważ proletariat, chociaż liczbowo wtedy jeszcze nieznaczny, złączony był jako klasa pracująca z *najbardziej rozwiniętą*[3]) formą gospodarstwa, produkcją na wielką skalę, i z tego powodu miał przed sobą wielką przyszłość.

"Inaczej przedstawiali się chłopi.

"Chłopi, pomimo swojej siły liczbowej, byli klasą pracującą złączoną z *najbardziej opóźnioną w rozwoju* formą gospodarstwa, produkcji na małą skalę, na skutek czego klasa ta nie miała i mieć nie mogła przed sobą żadnej wielkiej przyszłości."

"Ludowcy utrzymywali, że do socjalizmu w Rosji możnaby dojść nie przez dyktaturę proletariatu, ale przez gromadę chłopską, którą uważali za zarodek i podstawę socjalizmu. Gromada jednak nie była podstawą ani zarodkiem socjalizmu, ani nie mogła nim być, gdyż gromada opanowana była przez kułaków — krwiopijców, którzy wyzyskiwali biednych chłopów, robotników rolnych, i gospodarczo słabszych średnich chłopów."

PROGRAM I TAKTYKA LENINA

"Chociaż Plechanow już w latach 80-tych wymierzył główny cios poglądom ludowców, znajdowały one jeszcze poparcie na początku lat 90-tych wśród niektórych odłamów rewolucyjnej młodzieży . . . Ruch ludowcowy musiał być *zmiażdżony* ideologicznie, jeżeli dalsze rozszerzanie się marksizmu i powstanie Partii Socjal-Demokratycznej[4]) miały być zapewnione.

"Zadanie to zostało wykonane przez Lenina. "W książce swojej "*Jacy to "przyjaciele ludu" i jak walczą oni z socjal-demokratami*" (1894) Lenin gruntownie przedstawił prawdziwy charakter ludowców, wykazując, że byli oni fałszywymi "przyjaciółmi ludu", w istocie rzeczy działającymi na szkodę ludu."

"Lenin zapewnił włączenie do szkicu programu najważniejszej klauzuli o dyktaturze proletariatu oraz bardzo jasnego stwierdzenia kierowniczej roli klasy robotniczej w rewolucji.

"Lenin także nakreślił całą agrarną część programu. Już w tym czasie[5]) Lenin był za nacjonalizacją[6]) ziemi, lecz w pierwszym okresie walki uważał za potrzebne wysunięcie na plan pierwszy domagań się zwrotu chłopom *otrezków*, to jest tych części ról chłopskich, które panowie poodcinali w czasie "emancypacji" chłopów.

"Później Bolszewicy zastąpili żądanie zwrotu *otrezków* żądaniem konfiskaty wszystkich majątków ziemskich."

"Zalecając zwycięstwo rewolucji mieszczańskiej i ustanowienie republiki demokratycznej, Lenin nie miał najmniejszych zamiarów zatrzymania się w stadium demokratycznym i ograniczenia zasięgu ruchu rewolucyjnego do wykonania zadań mieszczańsko-demokratycznych . . . Lenin utrzymywał, że dyktatura proletariatu i chłopów konieczna jest nie w celu *zakończenia* rewolucji w momencie spełnienia się jej zwycięstwa nad caryzmem, lecz w celu *przedłużenia* stanu rewolucji jak tylko to możliwe, zniszczenia resztek kontr-rewolucji, rozszerzenia płomienia rewolucji do Europy i — dawszy w tym czasię proletariatowi możność wykształcenia się politycznie i zorganizowania się w ogromną armię — przejścia bezpośrednio do socjalistycznej fazy rewolucji."

"W celu niepozostawienia niczego niejasnym, w dwa miesiące po ukazaniu się książki *Dwie taktyki*[7]) Lenin napisał artykuł p.t. "Postawa Socjał-Demokratów wobec Ruchu Chłopskiego", w którym wyjaśnił:

"Ze stanu demokratycznej rewolucji przejdziemy od razu — i właśnie w zgodzie z zasadą mierzenia podług własnych sił, sił klasowo uświadomionego i zorganizowanego proletariatu — do stanu rewolucji socjalistycznej. Jesteśmy za nieprzerwaną rewolucją. Nie zatrzymamy się w połowie drogi."

CHŁOPI W PAŃSTWIE SOWIECKIM

"Kułacy zyskiwali na sile i zagarniali ziemię skonfiskowaną obszarnikom. Biedni, wieśniacy potrzebowali pomocy. Kułacy zwalczali rząd proletariacki i odmawiali sprzedaży mu zboża po cenach ustalonych. Pragnęli oni zagłodzić państwo sowieckie do stanu rezygnacji z zarządzeń socjalistycznych. Partia postawiła sobie zadanie zmiażdżenia kontr-rewolucyjnych kułaków. Oddziały robotników przemysłowych wysyłane były na wieś w celu organizowania biednych chłopów i zapewnienia powodzenia w walce przeciw kułakom, którzy zatrzymywali swoje nadwyżki zboża."

"W dniu 11 czerwca 1918 r. wydany został dekret przewidujący tworzenie *Komitetów biednych chłopów*. Komitety owe odgrywały poważną rolę w walce przeciw kułakom, w rozdziale na nowo skonfiskowanej ziemi i w rozdziale narzędzi rolniczych, w zbiórce nadwyżek żywności od kułaków i w zaopatrywaniu w artykuły żywności ośrodków klasy robotniczej i Czerwonej Armii. Pięćdziesiąt milionów hektarów ziemi kułackiej przeszło w ręce biednych i średnich chłopów. Duża część kułackich środków produkcji została skonfiskowana i przekazana biednym chłopom.

"Tworzenie Komitetów biednych chłopów było dalszym stadium w rozwoju socjalistycznej rewolucji na wsi. Komitety były twierdzami dyktatury proletariatu po wsiach".

"Przy końcu 1927 r. decydujące powodzenie polityki socjalistycznego uprzemysłowienia było niedwuznaczne. . . . Ale w rolnictwie, specjalnie w produkcji zboża, obraz był całkowicie różny."

"Nie mogło być wątpliwości, iż jeżeli taki stan spraw w rolnictwie byłby nadal utrzymywany, armia i ludność miejska stanęłyby wobec widma chronicznego głodu.

"Był to kryzys w produkcji zboża, po którym musiał nastąpić kryzys w produkcji inwentarza żywego.

"Jedynym wyjściem z tego przykrego położenia było przejście do produkcji rolnej na wielką skalę, co by pozwoliło na użycie traktorów i maszyn rolniczych i zapewniłoby wielokrotny wzrost nadwyżek zboża na rynkach. Kraj miał przed sobą dwie alternatywy: albo zastosować *kapitalistyczną* produkcję na wielką skalę, co by oznaczało ruinę mas chłopskich, zniszczyłoby sojusz między klasą robotniczą i chłopami, wzmocniłoby siły kułaków i doprowadziło do upadku socjalizmu na wsi; albo przedsięwziąć zespolenie małych chłopskich działek w rozległe *socjalistyczne* farmy, gospodarstwa zbiorowe, które byłyby zdolne do użycia traktorów i innych nowoczesnych maszyn w celu szybkiego zwiększenia produkcji zboża i szybkiego zwiększenia nadwyżek zbożowych na rynkach.

"Jasne jest, że Partia Bolszewicka i państwo sowieckie mogły wybrać tylko drugą alternatywę, rozwoju rolnictwa przez kolektywne farmy."

"W odpowiedzi na odmowę kułaków sprzedawania nadwyżek zbożowych państwu po cenach ustalonych Partia i Rząd przedsięwzięły szereg nadzwyczajnych środków przeciw kułakom; zastosowały art. 107 Kodeksu Karnego upoważniający sądy do konfiskaty nadwyżek zbożowych kułakom i paskarzom w razie odmowy przez nich sprzedaży zboża państwu po cenach ustalonych, oraz nadały biednym chłopom szereg przywilejów, na podstawie których 25 procent skonfiskowanego kułackiego zboża postawione zostało do ich dyspozycji.

"Te środki nadzwyczajne odniosły skutek: biedni i średni chłopi złączyli się w zdecydowanej walce przeciw kułakom; kułacy zostali odosobnieni i opór kułaków i paskarzy został złamany. Przy końcu 1928 r. państwo sowieckie miało już dostateczne zapasy zboża do swojej dyspozycji i ruch kolektywizacji gospodarstw wiejskich zaczął się posuwać pewniejszymi krokami".

ROK WIELKIEJ ZMIANY.

"W 1928 r. całkowity obszar produkcyjny kołchozów wynosił 1,390,000 hektarów, w 1929 r. wzrósł do 4,262,000 hektarów, a w 1930 plan orki w kołchozach obejmował już 15,000,000 hektarów.

"Trzeba przyznać — oświadczył Towarzysz Stalin w swoim artykule "Rok wielkiej zmiany" (1929), pisząc o kołchozach — iż w tak gwałtownej szybkości rozwoju nie dorównał kołchozom nawet nasz zesocjalizowany wielki przemysł, który powszechnie wyróżnił się wybitną szybkością swego rozwoju". (*Leninizm*, str. 299).

Był to punkt zwrotny w rozwoju ruchu ku kolektywizacji. Był to początek ruchu ku masowej kolektywizacji.

"Co jest *nową* cechą obecnego ruchu ku kolektywizacji"? — zapytywał Towarzysz Stalin w swoim artykule "Rok wielkiej zmiany". I odpowiadał:

"Nową i decydującą cechą obecnego ruchu ku kolektywizacji jest to, iż chłopi wstępują do kołchozów nie w odrębnych grupach, jak było dotąd, lecz całymi wsiami, całymi *wołościami*, całymi powiatami i nawet całymi okręgami. A co to oznacza? Oznacza to, że *średni chłop przyłączył się do ruchu kolektywnego*. A to jest podstawą tej radykalnej zmiany w rozwoju rolnictwa, która reprezentuje najdonioślejsze osiągnięcie Rządu Sowieckiego . . ."

"Znaczyło to, że dojrzewał już czas, lub też już dojrzał, do eliminacji kułaków jako klasy, w oparciu o pełną (solid) kolektywizację".

"Tak więc dzięki zmienionemu uszeregowaniu sił klasowych w gospodarczym życiu kraju i dzięki istnieniu koniecznej podstawy materialnej zastępowania produkcji zboża

---

3) Kursywę w cytatach dajemy tylko za oryginałem.

4) Poprzedniczka Partii Komunistycznej w Rosji, uformowana ostatecznie w 1903 r. pod kierownictwem Lenina. Nazwa "Partii Komunistycznej" przyjęta została dopiero w 1918 r.

5) Przed drugim kongresem Partii w 1903 r.

6) *Nacjonalizacja* czyli zniesienie prywatnej własności jest koniecznym wstępem *kolektywizacji*, które to pojęcie jest zbyt znane, by je tu objaśniać.

7) "Dwie taktyki Socjał-Demokracji w Rewolucji Demokratycznej", 1905.

kułackiego przez produkcję kołchozów i sowchozów, Partia Bolszewicka mogła przejść od polityki *ograniczania* kułaków do nowej polityki *eliminowania* ich jako klasy, w oparciu o pełną kolektywizację.

"Przed rokiem 1929 Rząd sowiecki prowadził politykę ograniczania kułaków. Nakładał wyższe podatki na kułaka i wymagał, by sprzedawał on zboże państwu po cenach ustalonych; do pewnego stopnia ograniczył obszar ziemi którą kułak mógł uprawiać — przez ustawę o dzierżawie roli; ograniczył możliwości jego gospodarstwa przez ustawę o pracy najemnej w gospodarstwach prywatnych. Lecz nie prowadził jeszcze polityki eliminowania kułaków, ile że ustawy o dzierżawie roli i pracy najemnej pozwalały im egzystować ,podczas gdy zakaz wywłaszczania ich dawał im pewną gwarancję pod tym względem. Skutkiem tej polityki było zatrzymanie wzrostu klasy kułackiej, a niektóre jej odłamy, niezdolne do wytrzymania nacisku tych ograniczeń, zostały wyparte ze swoich gospodarstw i zrujnowane. Lecz polityka ta nie niszczyła gospodarczych podstaw kułaków jako klasy, ani też nie zmierzała bynajmniej do eliminowania ich. Polityka ta była konieczna do pewnego czasu, to znaczy dopóki kołchozy i sowchozy były jeszcze słabe i nie mogły zastąpić kułaków w produkcji zboża.

"Przy końcu 1929 r., z rozwojem kołchozów i sowchozów, Rząd sowiecki zawrócił ostro od tej polityki do polityki eliminacji kułaków, niszczenia ich jako klasy. Odwołał on ustawy o dzierżawie roli i pracy najemnej, pozbawiając w ten sposób kułaków zarówno roli jak i najemnych robotników. Zniósł zakaz wywłaszczania kułaków. Pozwolił chłopom na konfiskatę bydła, maszyn i innych urządzeń gospodarczych kułackich na rzecz kołchozów. Kułacy zostali wywłaszczeni. Zostali oni wywłaszczeni właśnie tak jak kapitaliści w zakresie przemysłu w 1918 r., z tą różnicą jednakże, iż kułackie środki produkcji nie przeszły w ręce państwa, lecz w ręce chłopów zespolonych w kołchozach.

"Była to głęboka rewolucja, skok od starego stanu jakościowego społeczeństwa do stanu nowego, równająca się w następstwach rewolucji z października 1918 r.

"Wyróżniającą cechą tej rewolucji jest, iż została ona dokonana *z góry*, z inicjatywy państwa. a podparta bezpośrednio *z dołu* przez miliony chłopów, którzy walczyli by zrzucić jarzmo kułackie i żyć w wolności w kołchozach."

USPOKOJENIE UMYSŁÓW CHŁOPSKICH

"W wyniku błędów organizacyj partyjnych i wręcz prowokatorskiej akcji wroga klasowego, w drugiej połowie lutego 1930 r., dały się zauważyć na ogólnym tle niezaprzeczalnego powodzenia kolektywizacji niebezpieczne oznaki poważnego niezadowolenia wśród chłopów w szeregu okręgów. Tu i tam kułacy i ich ajenci zdołali nawet podburzyć chłopów do bezpośredniej akcji przeciwsowieckiej.

"Otrzymawszy szereg alarmujących sygnałów o zniekształceniach linii partyjnej, które mogły wystawić na szwank kolektywizację, Komitet Centralny Partii przystąpił natychmiast do zaradzenia sytuacji, do postawienia działaczom partyjnym zadania naprawienia błędów tak szybko, jak tylko to możliwe. W dniu 2 marca 1930 decyzją Centralnego Komitetu opublikowany został artykuł Towarzysza Stalina "Odurzeni powodzeniem." Artykuł był ostrzeżeniem pod adresem wszystkich, którzy dali się unieść powodzeniu kolektywizacji aż do popełnienia grubych błędów i odejścia od linii partyjnej, pod adresem wszystkich, którzy usiłowali zmuszać chłopów do wstępowania do kołchozów. Artykuł kładł największy nacisk na zasadę iż tworzenie kołchozów musi być dobrowolne, oraz na konieczność uwzględniania różnorodności warunków w rozmaitych okręgach Związku Sowieckiego przy określaniu tempa i metod kolektywizacji. Towarzysz Stalin powtarzał, że główną formą ruchu kolektywizacji jest rolniczy zespół pracy (w tekście angielskim słowo rosyjskie bez objaśnienia: *artel* — przyp. tłumacza), w którym tylko zasadnicze środki produkcji, używane głównie w produkcji zboża, mają być kolektywizowane, podczas gdy zagrody, mieszkania, część bydła mlecznego, mały inwentarz żywy, drób, etc. nie mają być kolektywizowane.

"Artykuł Towarzysza Stalina miał najwyższe polityczne znaczenie. Pomógł on organizacjom partyjnym naprawić ich błędy i wymierzył potężny cios nieprzyjaciołom Rządu sowieckiego, którzy mieli nadzieję wykorzystać zniekształcenia polityki, by nastawić chłopów przeciw Rządowi sowieckiemu. Szerokie masy chłopskie widziały teraz, że linia Partii Bolszewickiej nie ma nic wspólnegoz z świńską upartością (pigheaded) stosowanymi zniekształceniami "lewicowymi" władz lokalnych. Artykuł uspokoił umysły chłopskie (set the minds of the peasants at rest)".

ODDZIAŁY POLITYCZNE W STACJACH TRAKTORÓW

"Sytuacja stała się szczególnie zła, kiedy dawni kułacy i ich pachołkowie (toadies) zdołali wkręcić się jak robaki (to worm their way) do wnętrza kołchozów i zapewnić sobie w nich stanowiska zaufania. Nie rzadko dawni kułacy udawali się do okręgów, w których byli nieznani i tam dostawali się do kołchozów z umyślnym zamiarem sabotażu i szkodnictwa. Niekiedy, na skutek braku czujności ze strony działaczy partyjnych i urzędników sowieckich, kułacy potrafili dostać się do kołchozów nawet w swoich własnych okolicach. Ułatwiła zaś dawnym kułakom penetrację do kołchozów radykalna zmiana ich taktyki. Dawniej kułacy zwalczali kołchozy otwarcie, okrutnie prześladowali kierownicze kadry kołchożne i czołowych kołchoźników, mordując ich niegodziwie, paląc ich domy i stodoły. Myśleli, iż tymi metodami zastraszą chłopów i odstraszą ich od wstępowania do kołchozów. Teraz, kiedy ich otwarta walka przeciw kołchozom nie powiodła się, zmienili taktykę. Odłożyli na bok swoje obcięte karabiny i zaczęli pozować na niewinnych, nikogo niezaczepiających ludków, którzy by muszce krzywdy nie zrobili. Udawali lojalnych zwolenników Sowietów. Znalazłszy się zaś wewnątrz kołchozu, ukradkiem zabierali się do sabotażu. Usiłowali zdezorganizować kołchozy od wewnątrz, podkopać dyscyplinę pracy i pogmatwać sprawozdania żniwne oraz zapiski dokonanych prac. Częścią ich ponurego planu było niszczyć konie kołchożne zaszczepiając im umyślnie zołzy, parchy i inne choroby, lub rujnując je przez zaniedbanie i inne metody, w których często cieszyli się powodzeniem. Uszkadzali również traktory i maszyny kołchożne.

"Kułacy byli często w stanie oszukiwać kołchoźników i popełniać sabotaż bezkarnie, ponieważ kołchozy były jeszcze słabe a obsada ich jeszcze niedoświadczona.

"By położyć kres sabotażowi kułaków i przyśpieszyć dzieło wzmocnienia kołchozów, musiały one otrzymać natychmiastową i skuteczną pomoc w ludziach, doradzie i kierownictwie.

"Ta pomoc nadeszła od Partii Bolszewików. W styczniu 1933 r. Centralny Komitet Partii powziął decyzję zorganizowania *politycznych oddziałów* w stacjach maszyn i traktorów, obsługujących kołchozy. Około 17 tysięcy członków Partii posłano na wieś do pracy w tych politycznych oddziałach i do pomocy kołchozom.

"Pomoc ta była wysoce skuteczna."

*

Posłowie od tłumacza: *Równie skuteczna będzie ta pomoc w każdym innym kraju w którym komuniści zaczną przeprowadzać "reformy rolne", z początku "demokratyczne", pod osłoną bagnetów Czerwonej Armii.*

M. R.

Z OSTATNIEJ CHWILI

REKONSTRUKCJA RZĄDU

W chwili, kiedy piszemy te słowa (dnia 28 września 1944) prowadzone są rozmowy między stronnictwami polskimi w Londynie w sprawie rekonstrukcji Rządu. Właściwie Gabinet polski w Londynie znajduje się w stanie chronicznego kryzysu, a to z powodu utrzymywania fikcji, że jest to Rząd Jedności Narodowej. Ostatnio jednak kryzys przybrał ostrzejsze formy, z kilku przyczyn. Organizacja Polityczna Kraju postanowiła domagać się stanowczo od Londynu, by wreszcie została załatwiona postawiona od roku przeszło sprawa oparcia Rządu w Londynie na koalicji czterech stronnictw w Kraju. Ostatnia, wrześniowa, uchwała Rady Jedności Narodowej nawołuje Rząd w Londynie do pośpiechu. Stronnictwo Narodowe w Kraju zażądało równocześnie, by pp. Komarnicki i Seyda w Londynie złożyli teki, które sprawowali bez żadnego mandatu i upoważnienia. Depesz z Kraju w tej sprawie było aż dwie. Po pierwszej zainteresowani odwołali się jeszcze raz do Kraju, grając na zwłokę, natychmiastowa jednak dalsza depesza zamiary te udaremniła. Obaj ci ministrowie złożyli już podobno podania o dymisję, obyczajem jednak londyńskim sprawa utonęła w biurku p. Mikołajczyka.

Drugim, słabszym, źródłem inicjatywy jest formalnie P.P.S., która po paru latach zorientowała się nareszcie, że nie dysponuje w Rządzie żadną teką polityczną i ponosząc odpowiedzialność nie wywiera jakoby należnego jej wpływu.

Wreszcie do skupienia wszystkich sił polskich woła głośno cała sytuacja sprawy polskiej. Rząd nie reprezentujący większości narodu nie może pobierać decyzyj ogólnonarodowego i państwowego znaczenia.

W związku z tymi zagadnieniami odbyło się w Londynie, w hali Katedry Westminsterskiej, 27 września, wielkie polskie zebranie publiczne, z udziałem przeszło tysiąca osób. Przewodniczył Prof. Folkierski, przemówienia wygłosili Zygmunt Berezowski i Tadeusz Bielecki. Obaj mowcy podali główny zarys nowej polityki państwowej polskiej, która musi być podjęta, by zatrzymać pasmo dotychczasowych klęsk i niepowodzeń. Prezes Bielecki dał wyraz też stanowisku Stronnictwa w sprawach polityki bieżącej. Bardziej szczegółowe sprawozdanie, przedstawiające stan sprawy polskiej tak jak go omówili obaj narodowi politycy, podamy w następnym Nrze *Myśli Polskiej.*

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

NA ZGON STRĄCONEGO ANIOŁA

DIABEŁ łańcucki zmarł w Polsce w piątym roku wojny. Diabeł łańcucki, Aretino polski, Wolter i woltyżer publicystyki, Orzechowski, *Fra Diavolo* pamfletu, sowizdrzał, Polifem o wybitym przez wrogów oku, trubadur dialektyki, facecjonista, paszkwilant, chochlik rudogłowy, zły język, demon dowcipu, ekwilibrysta i żongler słów, wyznawca i męczennik "Liberum Veto", rycerz-wesołek i błędny rycerz i *Raubritter* i Tenor persiflażu, człek opętany inwektywą, bigot oszczerstwa, kąsający głośno bluźnierca, fabrykant małpich zwierciadeł i skotopasek, straszne dziecko kalamburu i kalumnii, kacerz patentowany, szatan z cenzusem, frant, cynik, libertyn, kpiarz, karykaturzysta, pieniacz spraw przegranych, *ioculator* Lucyfera, Marchołt, pachołek anarchii, sługa hazardu, Rinaldo dziennikarstwa, recydywista obelgi, wcielenie swawoli, cygan, warchoł, filut i blagier, anioł strącony, Adolf Nowaczyński.

Nie wiem z jakiej przyczyny strzelił mi do łba w tej chwili cytat grecki, pętający się po zakamarkach i ruinach mej pamięci: "*Ton hetto logon kreitto pojejn*". Nowaczyński dochodził siedemdziesiątki, ale nie mógłby jak Sokrates u Platona, powiedzieć: "*Oto pierwszy raz w życiu staję przed sądem, a mam lat siedemdziesiąt . . .*" Nie, Nowaczyński stał przed sądem i siedział na ławie oskarżonych przez całe życie, lecz akt oskarżenia zarzucał mu normalnie to, co zarzucano . . . Sokratesowi: że słowo słabsze czyni silniejszym, że rzecz gorszą przedstawiać pragnie tak iżby się lepszą wydała. A oto umarł, może mówiąc: "*Lecz teraz już na nas czas, by pójść w drogę, ja na śmierć, wy w życie; a kto z nas idzie w lepszy kraj, wiadomo jest tylko Bogu*".

Lecz nie jestem Platonem, nie piszę apologii, Nowaczyński zaś nie był Sokratesem. Umarł i żal mi go ogromnie. Ten strącony anioł był świetnym pisarzem. Był człowiekiem olbrzymiej pracy. Był indywidualnością wyjątkowo nieznośną ale indywidualnością wielką. Był, pisarzem niezależnym aż do absurdu. Mógł o sobie powiedzieć: "*Scribo quia absurdum*" Był człowiekiem odważnym w każdej prowokacji. Zadawalał się najskromniejszymi warunkami, twierdząc, że pracuje piórem, żyje zaś — z . . . ołówka. Mianowicie z dochodów żony, *née* Majewskiej, córki właściciela fabryki ołówków. Był przez wydawców i przez redakcje rozmaitych pism wyzyskiwany w sposób cyniczny. Ominęły go wszystkie nagrody literackie, nawet nagroda Poznania, któremu poświęcił wiele czasu i studiów. Ominęła go Akademia Literatury i bobek literacki. Sponiewierany, pobity, utraciwszy oko z ręki jakichś najmitów, pisze dalej tak samo, jak pisał. Romantyk utajony i zarazem człowiek bez uczucia litości. Wróg wszystkich, umie być przyjacielem zakonspirowanym głęboko, przyjacielem, jeśli o nim takiego wyrażenia użyć można, wręcz tkliwym i sentymentalnie nielojalnym. Rewolucjonista wieczny, skłócony z rzeczywistością, z rodziną, ze wszystkim, nawet z miastem, które głęboko ukochał, sam *Krakauerem* będąc zakutym. Pisarz na złość. Ale pisarz świetny. Nie jeden klawisz lecz sto, tysiąc, dziesięć tysięcy tonów. Na każdy raz ton inny.

Więc zmarł piątego roku wojny w Polsce, w Warszawie. "Smocze gniazdo", "Starościc ukarany", "Car Samozwaniec", "Wielki Fryderyk", "Cyganeria Warszawska", "Pułaski w Ameryce", "Nowe Ateny", "Komedia Amerykańska", "Komendant Paryża", "Wojna wojnie", "Wiosna Narodów", "Cezar i człowiek", komedja o Reju, siedem dramatów jednoaktowych, "Bóg Wojny", (Napoleon), facecje, studja literackie, milion artykułów, polemik, recenzyj, satyr, bajek. Dzień każdy wypełniony robotą i niepokojem, gorączką i niedosytem pracy, galop nieustanny poprzez historię wszystkich epok i wszystkich narodów, pokazywanie języka i małpiego grymasu wszystkim wielkościom, wszystkim stylom, wszystkim autorytetom, prawdom, świętościom. Bo też namiętnie i zawodowo szargał świętości, wiedząc, że to boli. Entuzjasta skandalu.

Redakcja "*Myśli Polskiej*" poprosiła mnie, bezdomnego dziennikarza i literata, bym skreślił kilka słów o Nowaczyńskim, jako o człowieku teatru. To olbrzymia dziedzina twórczości Nowaczyńskiego, a przecież odcinek tylko niewielki tej pracy, którą obdzielić można by kopę ludzi, i każdy z nich byłby śmiertelnie zmęczony. Zapewne umarł, pisząc, stawiając swe kulasy, swe nieczytelne hieroglify na wąskich, staromodnych skrawkach papieru, którym pozostał wierny, *Underwooda* nie uznając do końca życia.

Makuszyński mówił mi, że Nowaczyński lubił pisać w pozycji stojącej, schylony nad stosem kartek, że pisał w milczeniu aż do chwili, gdy z pod pióra wystrzelił mu jaki dowcip czy kalambur, podobny do racy świetlnej, wtedy bowiem pirotechnik-Nowaczyński wybuchał śmiechem piskliwym, zaiste nie ludzkim. Ach, jakiż to dziwny był człowiek! Gdyby, podobnie jak inni, wywędrował z Polski, i znalazł się w mundurze we Francji, napewno byłby *seryzejczykiem* jak *rotesejczykiem* byłby w Wielkiej Brytanii. Ach, z jakąż satysfakcją przymknęliby go zacni przyjaciele czy sojusznicy z Frontu-Morges! Już ich widzę, jak to robią!

Lecz mówmy o Nowaczyńskim, jako o człowieku teatru. N.b. on pośrednio, a właściwie nawet bezpośrednio, pozbawił mnie dyrekcji teatru krakowskiego, i przyczynił się w pierwszym rzędzie do tego, że porzuciłem scenę na zawsze a oddałem się pisaniu. Wielka jego zasługa dla Melpomeny, wątpliwa przysługa dla literatury czy publicystyki. Było to tak: poznałem to dziwne zjawisko w najdziwniejszych okolicznościach. Na przełomie lata i jesieni 1928 roku przyszedł do mnie, do kancelarii, twierdząc, że przyniósł ze sobą gotową sztukę, ktora wymaga tylko przepisania na maszynie, i zażądał zaliczki w wysokości pięciuset złotych. Jako człek rutynowany obrzuciłem go krytycznym spojrzeniem, widząc, że nie ma ani teczki ani walizki, ani żadnej innej rzeczy, że przyszedł bez kapelusza, bez płaszcza, w jakichś bardzo sfatygowanych, krótkich spodniach turystycznych i w marynarce bez kamizelki. Gdzież, u diabła ciężkiego, ma on tę sztukę?

— Przepraszam, pan mówi, że przyniósł pan tę sztukę z e s o b ą?

— Tak, mam ją ze sobą, tylko poproszę pana dyrektora o nożyczki. Zdumienie moje wzrosło. Nożyczki? Nie mam nożyczek, ale chyba ma je kasjer i dyrektor administracyjny, Jan Mikucki, do którego udałem się na naradę. Oświadczył mi, że Nowaczyński zawsze był wariatem, że jednak na wszelki wypadek trzeba z nim pogadać i wziąć nożyczki a dać zaliczkę. Wracamy więc z nożyczkami do mej kancelarji, gdzie zastajemy Nowaczyńskiego już bez marynarki, tylko w koszuli. Co więcej, Nowaczyński rozpina guziki koszuli i mówi do Mikuckiego (a znali się bardzo dawno):

— Panie Jasiu, niech pan przetnie ten sznurek!

Cóż się pokazuje? Nowaczyński miał tę sztukę, cały manuskrypt, na piersiach, dosłownie na gołych a kosmatych piersiach, w okładce z tekturki, przywiązaną grubym szpagatem (takim od cukru) tak, że wisiała na szyi i równocześnie była umocowana od frontu. Dla ścisłości zaznaczam, że w tekturce z owym utworem było sześć otworów, przez które przechodził szpagat, krępując kark, piersi i plecy. Stanąwszy w pozycji obronnej ze biurkiem, wziąłem do jednej ręki jakiś przycisk, do drugiej niepotrzebne już nożyczki, i pytam, czemu zawdzięczać mam tak niezwykle okoliczności, wśród których autor dostarcza mi repertuaru.

— Widzi pan, ja spędzam całe lato w Chabówce, w chałupie pewnego górala. I tydzień temu wyjechałem do Zakopanego, a wróciwszy stwierdziłem, że była u mnie policja i przewróciła mi do góry nogami wszystkie papiery pod pozorem, że wybuchł pożar . . . Więc teraz noszę tę sztukę ze sobą. Gdyby mi przepadła, drugi raz nie potrafiłbym jej napisać . . .

Jak późniejszy bieg wypadków okazał, sztuką tą przedstawiającą się na razie jako sterta nieczytelnymi kulasami wypełnionych kartek — była "*Wiosna Narodów*", która później na zainicjowanym przeze mnie krakowskim konkursie dramatycznym wzięła, wspólnie z Goetla "*Stefanem Batorym*", drugą nagrodę, podczas gdy pierwsza przypadła "*Niespodziance*" Rostworowskiego. Posiedzenia jury były niezmiernie dramatyczne i głośne, gdyż sędziowie, poznawszy odrazu styl Nowaczyńskiego (któż by nie poznał), oświadczyli, że ten śmiertelny wróg i kalumniator Krakowa nie może dostać nagrody. Ja stanąłem na stanowisku, że konkurs był rozpisany dla wszystkich, że Nowaczyńskiego wyłączać nie wolno oraz że do chwili otwarcia koperty autor jest anonimowy. Naprzekór pewnym sędziom, głównie Haeckerowi i Beaupré'mu, zwyciężyła moja opinia, i Nowaczyński przeszedł, lecz Kraków nigdy nie wystawił nagrodzonej jego sztuki. *Habent sua fata . . . comoediae*!

Miejscowy "Strzelec" zagroził ,że zdemoluje teatr, jeżeli ośmielę się wystąpić z premierą, magistrat nie chciał mi dać na piśmie swej zgody, lecz mimo to rozpocząłem próby, które jednak trzeba było zawiesić na kołku wobec zakazu ze strony szefa bezpieczeństwa przy województwie. Mimo to naraziłem się śmiertelnie czterem dziennikom krakowskim, bo *Ikacowi*, *Czasowi*, *Naprzodowi*

i żydowskiemu *Nowemu Dziennikowi*, podczas gdy bliski (nie mnie) Nowaczyńskiemu *Głos Narodu* umył ręce. Jak się rzekło, *Wiosna Narodów*, wystawiana w Warszawie, Poznaniu i t.d., nie ujrzała światła kinkietów właśnie w Krakowie, który ją nagrodził, ja zaś wyleciałem z teatru, znudzony, zmęczony i trochę przedwcześnie siwy. Bardzo jestem wdzięczny Nowaczyńskiemu. Ale rzecz ważniejsza i znamienna: Nowaczyński w tej właśnie sztuce chciał przeprosić Kraków, chciał się pogodzić z miastem rodzinnym, bo też *Wiosna Narodów* była jednym wielkim hołdem, jednym pokłonem, złożonym Krakowowi. No, i nie udało się!

Rozwiodłem się w opowiadaniu o tym epizodzie, który tak znakomicie charakteryzuje stały u Nowaczyńskiego rozdźwięk pomiędzy przyczyną a skutkiem, pomiędzy intencją a efektem. Jest w tym tragizm rudego Mefista, który był jakby "*ein Teil von jener Kraft, die stets das boese will und stets das gute . . . schafft.*" To skorpion — samobójca. W ogromnym jego dorobku teatralnym widzę pewną lukę: Nowaczyński powinien był stanowczo napisać dramat o Sicińskim, by podobnie jak o Stadnickim, diable łańcuckim, zakonkludować, że upiór *Liberum Veto* także "*z chóru strąconych aniołów był.*" Stanowiłoby to właściwą kropkę nad i, będąc równocześnie dalszym ciągiem procesu brązowania warchołów, który zainicjował Słowacki w *Samuelu Zborowskim.*

Do utworów scenicznych Nowaczyńskiego stale przykładano bardzo krytyczną a szczególną miarkę, by udowodnić, że nie są dramatami w właściwym słowa znaczeniu. Stosując katechizm samego Arystotelesa czy też *Hamburgische Dramaturgie* Lessinga i ze swojskich fachowców Wilhelma Feldmana, rozpowszechniano opinię, że to nie teatr, ale cyrk, nie dramaty ale obrazki rodzajowe, nie prawda sceniczna ale szwindel, nie *dramatis personae* ale marionetki, nie historia ale sfałszowana anegdota, nie idea lecz błazeński koncept, nie język ale pokraczne, beznadziejne *esperanto* czy *volapueck.*

Można i tak. Lecz zacznijmy od języka. Rzekomo pisał wszystkimi językami, których nie znał, naśladując wszystkie style, których nie rozumiał. Jednakże nie kto inny lecz sam Aleksander Brueckner powiedział, że *Samozwaniec* pisany jest językiem, który m ó g ł b y być w użyciu na pograniczu polsko-rosyjskim w XVII wieku. "Mógłby"! Jest to chyba największa pochwała, jaka mogła spotkać artystę ze strony uczonego filologa. Rzecz właśnie polega na tym, że teatr jest działaniem "jak gdyby", działaniem umownym, że w teatrze idzie nie o prawdę ale o jej projekcję, o jej rzut, o nową postać, będącą rzutem postaci pierwotnej. Szaleństwo słowa u Nowaczyńskiego nie miało żadnej metody; wydaje mi się, że z ducha było ono pokrewne radosnej zabawie dzieci, które wynajdują swój własny język, niezrozumiały czy trudny do zrozumienie dla starszych. On się tym słowotwórstwem bawił jak artysta i jak dziecko. Jak straszne dziecko. Ale artysta bywa czasem dzieckiem, strasznym dzieckiem.

Nowaczyński, gdy mu się udało przerobić nazwisko "Patek" na "Psychopatek", "Pigoń" na "Epigoń", gdy z Robespierre'a zrobił "Robespiernika", z Bonapartego "Bonapartacza" wydawał dziki wrzask, piszczał jak dzieci, bawiące się w Indian. Gdy komuś udał się dobry kalambur, Nowaczyński cieszył się cudzą inwencją oraz myślą, że ta cudza inwencja sprawiła komuś trzeciemu przykrość. (Sam dostałem swego czasu depeszę od Nowaczyńskiego, w której gratulował mi, że siedzibę prezydenta Krakowa, czyli t.zw. pałac Larischa przemianowałem na pałac *Nouveau Larischa* . . .) Sprężyną myśli Nowaczyńskiego było doprowadzone do jakiegoś *elephantiasis* uczucie "*Schadenfreude*", w rzeczy samej u niego bezinteresowne tak, jak bezinteresowną igraszką myśli jest n.p. filozofia.

Cyrk nie teatr? Gdzież jest granica ścisła, któraby te dwie instytucje rozdzielała przepaścią nie do przebycia? Sądzę, że pomiędzy teatrem a cyrkiem znajduje się tylko bardzo cienka pruska ścianka, poprzez którą może odbywać się osmoza, przenikanie, wzajemne, nie przynoszące wstydu teatrowi, zaszczytu cyrkowi. Co dziwniejsze, powodzenie sztukom Nowaczyńskiego zapewnił głównie znakomity aktor, który stoi na pograniczu cyrku i teatru, genialny szmirus, improwizator, wróg długich prób, wspaniały w jednej osobie *Pulcinello, Tartaglia, Arlekin, Pantalone* i *Scaramuccia*, Ludwik Solski. Cała nietylko twórczość, ale całe życie Nowaczyńskiego to wcielona *commedia del 'arte*, to improwizacja grymasu, karykatury, parodii, bufonady. I, rzecz dziwna, Nowaczyński ma ten sam pogardliwy stosunek, ma tę drażniącą postawę wobec otoczenia, jaką miał wskrzesiciel *commedia del'arte*, autor "Turandot", "Błękitnego potwora", "Miłości do trzech pomarańcz" i innych słonecznych i barwnych "*fiabe*", ponury jak noc, złośliwy hrabia Carlo Gozzi. Czyżby ta właśnie forma twórczości odpowiadała jednostkom, skłóconym ze wszystkiem, co je otacza?

Styl? Historia? Epoka? Może Nowaczyński i nie znał ich, może ,nie pytając o głębię, jaka pod nim się słała, z trampoliny wykonywał skok szaleńczy, *salto mortale, dive-bomberem* będąc z urodzenia. I pływa jak chce: *crawl*'em, na wznak, "kozaka" "pieska", na bok, na wodzie, pod wodą w każdym razie nie tonie. Jego sztuki to bal kostiumowy, reduta, karnawał wszystkich wieków, nie twarze ale maski, intrygowanie zamiast intrygi, poza zamiast pozycji, szminka zamiast rumieńca życia, słowa zamiast konfliktu uczuć czy idei; ale to wszystko burzy się i pieni, żyje życiem sztucznym lecz barwnym, bogatym i własnym, a doraźnie tak przekonywającym, że widz zapomina o Arystotelesie, o zasadach jakichś tam jedności, o Lessingu i t.p., poddaje się natomiast czarowi tej pirotechniki, tym racom, pękającym żabkom, młynkom, bengalskim ogniom, krytykować zaś poczyna dopiero później, po skończonym spektaklu-fajerwerku.

A to jest teatr! To jest w ł a ś n i e teatr! Sugestia albo narkoza. Nowaczyński używa nie chloroformu i nie eteru ale gazu rozweselającego, by wyrywać zęby i borować, jak dentysta będący sadystą z urodzenia. Oczywiście, jego sztuki chorują na przerost słowa, czego nie mogą w wielu wypadkach zrównoważyć pozory akcji. Lecz pozory te mimo wszystko pociągają i nawet porywają. Kłamstwo teatru Nowaczyńskiego jest prawdą, jego prawdą, którą za prawdę poczytuje także widz, będący w stanie urzeczenia. A to jest właśnie teatr.

Stanisław Tarnowski w literaturze poromantycznej, w literaturze ostatka XIX i początków XX wieku nie smakował szczególnie a za najwyższy wzlot dramatu historycznego uznawał Szujskiego i . . . Rydla *Trylogię Zygmuntowską.* Pisane ładnym, gładkim językiem ,sztalugowe, hiperhistoryczne, "Jadwigi" i "Maryny Mniszchówne", Zborowscy czy Wallasowie, sztuki pełne po brzegi zarówno prawdy dziejowej jak i zacnych myśli przewodnich, uzyskały słowa uznania Tarnowskiego. Zdobył je i Rydel swym, już nie sztalugowym tryptykiem ale oleodrukiem raczej, podczas gdy świetny estetyk jakoś w ogóle nie zauważył n.p. Wyspiańskiego, nie mówiąc już o innych, więc n.p. o Nowaczyńskim.

A tymczasem cóż się dzieje? O Szujskiego nie spyta żaden dyrektor teatru, *Trylogia Zygmuntowska* ujdzie na przedstawieniach — specjalnie dla młodzieży jako powtórka z historii, Nowaczyński zaś, tak mi się zdaje, pozostanie w repertuarze żywym, stanowiąc pole popisu dla aktora i reżysera. Cóż stąd, że zamiast tworzyć żywe postaci pisze dobre role, skoro teatr tych dwu pojęć nie odróżnia. Teatr nie przypomina szkolnych wydań klasyków niemieckich, gdzie w komentarzu stale wykazywano, ile razy Schiller czy Goethe czy Kleist dokonali t.zw. "*Abweichung*", schodząc z drogi prawdy historycznej.

Ależ Nowaczyński to jest jedno wielkie *Abweichung*! On pisze dla teatru, dla reżysera, dla publiczności, nie dla krytyków czy dziejopisarzy. Z apetytem Gargantui wchłaniając rozdziały takie jak konflikt dwu różnych kultur, polskiej i rosyjskiej na przełomie XVI i XVII stulecia, jak narodziny totalistycznych Prus, jak epoka wiosny narodów, jak *Cinquecento* Borgiów, nasz wiek oświecenia, komuna paryska i t.d., — zdawał się tego nie gryźć i nie trawić (przepraszam za Rabelaisowskie porównanie). Puszczał w ruch swoją własną *Drehbuehne* i na tej scenie obrotowej stawiał panoramę po panoramie, *panopticum* figur woskowych ale żyjących życiem utajonym w rękopisie, życiem teatralnym organizmu zbiorowego na scenie.

Zawsze się znajdzie się jakiś Solski, by zagrać Samozwańca, i zawsze gdy Solski zagra Fryderyka Wielkiego, znajdzie się Kamiński, by pokazać, że on to zagra lepiej, a na prowincji, po Krakowach, po Lwowach, Łodziach znajdą się pomniejsze Fryderyki by udowodnić że można zagrać jeszcze lepiej — bo teatr Nowaczyńskiego jest teatrem aktora, nie teatrologa czy historyka literatury. Pierwsze jego kroki, więc siedem dramatów jednoaktowych, z nich zaś chyba najbardzie "*Prawo Mimikry*", dają przeczuć mistrzaj w modelowaniu ról. Oczywiście, Zapolska, a zwłaszcza Jan August Kisielewski odda lepiej, tysiąc razy głębiej, atmosferę obłudy, zakłamania, filisterii, burżujstwa; Rittner przystąpi do tego samego tematu z chłodem ironii, z logiką nieubłaganą, i oni stworzą role trwalsze, dając im solidny podkład psychologii, jednakże i Nowaczyński stąpa po tym terenie nogą pewną, szukając własnej drogi.

Zawróci z niej rychło. Porwie go widowisko tłumne, skąpane w reflektorach, spektakl ogromny, krzykliwy, barokowy w doborze dekoracyj i kostriumów czy rekwizytów, barok bez żadnej *sordynki*, zawsze w tonacji "dur", zinstrumentowany tak, że głównie słyszymy t.zw. "blachę", zatem czynele mosiężne, miedź i cymbał brzmiący. Trąby, helikony, waltornie, kornety, "S-trąbki". Ponadto "drzewo", zatem klarnet, obój, fagot i nie flet, ale piskliwe *piccolo.* I kotły, bębny huczne. W sumie orkiestra prawdziwie, w samej istocie swej, "dęta". Nigdy nie załkają w niej skrzypce, nie ozwie się wiolonczela. I nie *andante*, nie *largo*, ale *vivace, con fuoco, con brio.* I nigdy *piano*, zawsze i w permanencji *forte, forte, forte, fortissimo.*

To nuży, denerwuje, drażni. Barok schyłkowy, barok marnotrawca, o kapitelach przekorynckich, sztuczny ogród fraszek i akrostychów, wirydarz lampionów, fontann i kwiatów sztucznych o sztucznej woni, na

widok których, zmieniając odrobinę słowa poety, możnaby powiedzieć:

"*Bo na tym świecie*
"*Śmierć wszystco zmiecie:*
"*Robak się lęgnie*
"*I w* sztucznym *kwiecie . . .*"

...No, a teraz śmierć zmiotła Nowaczyńskiego. Dziś wydaje mi się, że Polska była dla niego terenem trochę za małym. Gdzieindziej Nowaczyński nie odbijałby tak jaskrawie, nie zwracałoby się uwagi na wszystkie jego kanty. Gdzieindziej jego artystyczna impertynencja dałaby się strawić łatwiej. Gdzieindziej krytyka poszłaby raczej za przykładem Bruecknera, doszukując się n.p. w *Carze Samozwańcu* wartości trwalszych i bardziej rzetelnych. Sądzę, że pewnych skrótów historiozoficznych nie powstydziłby się sam G. B. Shaw, czyli dramaturg, który stosuje metodę Kolumba do każdego zagadnienia, starając się je nadbić, w tym celu, by przed stawiło się widzowi od innej strony, — nie od tej, jakiej widz skłonny byłby oczekiwać.

Nowaczyński uderza tak mocno i z tylu stron równocześnie, że odrazu robi jajecznicę. I z tą jajecznicą przysmaża swój makaronizm, musząc "*mącaronice mówić*". Choć także dąży do ukazania rzeczy od strony nieznanej, przecież w odróżnieniu od Matuzalema literatury angielskiej, komplikuje każde zadanie zarówno sobie samemu jak widzowi. Ten tak wysoce, od Boga czy od diabła, utalentowany pisarz nie ma pod pewnym względem nigdy szczęścia, natomiast zawsze prześladuje go pech: to, co w rzeczy samej było utrudnieniem, twórczym wysiłkiem, biorą ludzie za łatwiznę. Kochanowski raz jeden jedyny napisał "Raki", które można czytać od frontu i od tyłu, Nowaczyński zawsze pisze rakiem.

Byłem bardzo, bardzo młody, byłem jeszcze w mundurze siódmoklasisty, gdy oglądałem premierę *Cara Samozwańca* w Krakowie. Może właśnie to naiwne, to bezkrytyczne spojrzenie ucznia gimnazjalnego sprawiło, że do dziś dnia kontrast obu światów, polskiego i rosyjskiego, przedstawiony plastycznie w *Samozwańcu*, ma dla mnie wymowę tak silną, jak . . . *Batory pod Pskowem* Matejki. Och czy nie za wiele powiedziałem?

Nie, nie za wiele. Zawsze widzę tę sztukę w bogatych, kapiących od złota, ramach. Są to ramy młodości. Po *Samozwańcu* postawiłbym wcześniejsze *Smocze gniazdo*, które już zatarło się trochę w mojej pamięci. W sztuce o Stadnickim Nowaczyński jest jeszcze tym, który walczy o swoiście pojęte ideały, ujmuje się za jednostką, którą według niego współcześni i potomność skrzywdziła. Czy robił to na serio? Nie wiem, ale sztuka jest dobra, choć, oczywiście, prowokacyjna w najwyższym stopniu. Bądźmy jednak sprawiedliwi: znaleźli się grubo, grubo więksi niż Nowaczyński, którzy ujęli się za Szelą. Co prawda, nie uczynili tego dla kaprysu, dla *epatowania*, dla samej li przekory. I nie dla "*Schadenfreude*", która u Nowaczyńskiego mogłaby, jak już nadmieniłem, dać sobie upust w jakiejś kronice gramatycznej o Sicińskim.

Rzecz ciekawa, ten Marchołt, gruby a sprośny, jakoś nigdy, chyba mnie pamięć nie zawodzi, nie obniża poziomu swych sztuk pornografią. Co więcej, wydaje mi się, że Nowaczyński chciał . . . uczyć. Jakież to dziwne i niewiarygodne! Może na dwa lata, czy na rok przed tą wojną zaproponowałem mu, by do redagowanej przez docentów Gołąbka i Tynca oraz przeze mnie czytanki szkolnej dla młodzieży napisał dwa popularne opowiadania, a mianowicie o Lelewelu i Chodowieckim. Był po prostu wzruszony tym projektem i wziął się błyskawicznie do roboty. Powstały dwie, w całym słowa znaczeniu "dydaktyczne" a zarazem piękne nowelki, które jednakże komisja M. W. i O.P. odrzuciła *a limine*, podając jako jedyną rację to, że wyszły z pod pióra Nowaczyńskiego. Czyż znowu nie jest to przykład braku szczęścia?

Wartość jego sztuk wyrasta na tle szarzyzny polskiego dramatu historycznego w latach ostatnich. Któż bowiem para się tym rzemiosłem? Co można wymienić? Krzywoszewskiego *Panią Chorążynę*, wygwizdaną w Warszawie na premierze? *Lanszafty* historyczne Brończyka? Zdecydowane fiasko jakie przyniósł Goetla *Stefan Batory*? Miłaszewski i jego cukierkowy *Farys*? Katerwy nieudałe misterium o św. Franciszku? Pewnie coś wypuściłem, pisząc z głowy, ale kogóż by jeszcze dodać? Wiśniowskiego? Waśkowskiego?

Nowaczyński jest artystą. Rzuca wizję własną, daje szeroki przekrój epoki, tak jak on ją rozumie, sypie hojną garścią role i sytuacje, wejścia czy zejścia i finały, umie operować wielkim zespołem, czuje teatr — może nie tak jak Rostworowski a z dawniejszych Zapolska — ale wie doskonale czego potrzeba aktorowi i czego reżyserowi i czego, wreszcie, kasjerowi. Lutnia jego, nienastrojona czasem, spuszczająca ton, lutnia *pizzicato*, ma przecież tonów ogromnie wiele, autor zaś ma odwagę olbrzymią, gdy puszcza się na bystre wody nawet arystofanejskiej komedii ("Wojna wojnie") i . . . nie tonie. Jeśli nie do skarbnicy polskiej literatury, w każdym razie do biblioteki teatrów polskich i to na półki często używane, kurzem wieczystym nie zasłane, trafi *Samozwaniec* i w każdym razie *Fryderyk*.

Oczywiście, że wymieniając pisarzy dramatów historycznych wypuściłem goś i to kogoś znacznego, mianowicie Morstina. O siostrzeńcu Wyspiańskiego, więc o wspomnianym Waśkowskim, gadano w Krakowie, że każda jego sztuka to tylko *do trzech razy sztuka*. Żadna jakoś nie osiągnęła czwartego spektaklu. Złośliwi a zarazem niesprawiedliwi krytycy mówili o każdej sztuce Morstina, że jest dobra ale . . . nie na premierę. Złośliwość, nic więcej, ale sztuki Nowaczyńskiego były dobre i na premierę i dobre pozostaną na wznowienia. Są częścią kapitału nie żelaznego, ale obrotowego teatrów polskich.

Pisarz na złość. Musiał jednak pisać tak, jak pisał. Nie mógłby w żaden sposób pisać inaczej. Pozatem, gdyby w okresie po wielkiej wojnie polityka nie porwała go w swe szpony . . Ech, niema sensu to "gdyby"! Nie zmieniłby się przenigdy. On także, jak jego bohater, "z chóru strąconych aniołów był" Los, fatum, ananke czy jeszcze inaczej, albo wrodzona, od przyjścia na świat nadkwasota, hiperaciditas acuta chronica, zatrucie kwasami nieorganicznymi przy równoczesnym braku zasad, alias wodorotlenków o właściwościach alkalicznych.

Nie znam się na tym. Wiem tylko, że był świetnym pisarzem. I wiem, że w danej chwili pisania rzeczy najgorszych, najstraszniejszych, wierzył w to, co pisze, wierzył całą swoją dziwną, tragiczną duszą. Gdyby tych rzeczy najstraszniejszych nie napisał, udusiłyby go własnym naporem. Rzecby można o nim: "*Strumień złości płynie przez ciebie, ale ty nie jesteś złością*".

Sądzę mimo wszystko, że takie sformułowanie dalekie nie jest od prawdy. Dogadza mi ono, ponieważ w wielkiej żyłem z Nowaczyńskim przyjaźni. Wszystko, absolutnie wszystko, różniło nas w sposób diametralny, lecz on umiał nie rozmawiać ze mną o pewnych sprawach, jak ja, naodwrót, omijałem inne tematy. Odwiedzał mnie często w Krakowie, ja jego w Warszawie, w skromnym mieszkaniu przy ul. Złotej, gdzie zawsze parzył dla mnie kawę, mianowicie kawę z dożywotniego zapisu Michała Tarasiewicza. Świetny deklamator a zarazem właściciel wielkich składów kawy "Pluton", Tarasiewicz, zażądał w testamencie od swych spadkobierców, by posyłali Nowaczyńskiemu worek kawy rocznie. Ten olbrzymi worek z biedą wystarczał na rok, Nowaczyński bowiem lubił kawę mocną i czarną jak samo piekło.

Zbrakło mu tej kawy podczas wojny. I umierając, nie mógłby zacytować słynnego wiersza Szczepańskiego z czasów *Młodej Polski*, zatem wiersza: "*Poprzez ocean czarnej kawy płynę do wysp Ukojenia*". Ale dopłynął tam, gdzie rządzi inny Pluton, bóg podziemi. Nie pogodziwszy się wbrew gorącemu pragnieniu z rodzinnym Krakowem przed laty piętnastu, pogodził się z całą ziemią polską, na której został, której opuścić nie chciał aż do śmierci, amen.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

ANDRZEJ TRETIAK

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

W NAPIĘCIU słuchania wiadomości z Warszawy, miasta walki, śmierci i poświęcenia padło nielogicznie niespodziewanie nazwisko jedno, drugie ,trzecie, ósme zamordowanych profesorów Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego — wśród nich nazwisko profesora Andrzeja Tretiaka, filologa anglisty. Wywleczono ich z domu profesorskiego na Nowym Zjeździe i zamordowano. Zamordowali ich niemieccy *kulturtraegerzy*.

Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy byłem studentem filologii angielskiej, zwanej anglistyczną, życie i wojna rzuciły mnie w inny krąg zainteresowań, wiele zatarło się w pamięci. Dlatego wiem, że pisząc to wspomnienie wiele ominę. Kto znał bliżej śp. professora Tretiaka, niech wybaczy niedociągnięcia. Zaiste, piszę z ciężkim sercem.

Dział filologii anglistycznej był na U.J.P., jednym z najmniejszych działów na Wydziale Humanistycznym. Składał się z jednego profesora, jednego docenta, jednego asystenta i jednej lektorki, Angielki. Skutkiem tak małej obsady ś.p. Tretiak dwoił się i troił, by podołać zadaniu. Nie było ono przecież łatwe. Filologia anglistyczna jest działem ogromnym, jest działem tak bogatym, jak bogaty jest język angielski, jego literatura, historia, tradycja i wreszcie *idiom*. Tretiak nie zadawalał się niczym małym w stosunku do siebie i w stosunku do większości swych studentów, tak więc pracował gigantycznie, wykładając w ciągu tego samego dnia na dwa lub trzy różne tematy. W ciągu tego samego trymestru mógł mieć w programie Szekspira, którego analizował ze znastwem i smakiem, współczesną lub nowoczesną powieść lub poezję, gramatykę i stare teksty anglosaskie, dramat współczesny. Do tego dochodziły seminaria i egzaminy. Wszystkiemu dawał radę pracując z całym poświęceniem się naukowca, znajdując ponadto czas na pracę nad publikacjami, recenzjami, a nawet na poezję o niezwykłej precyzyjności i pięknie formy i treści.

Wykładał zawsze z zamkniętymi oczyma, co wcale nie przeszkadzało mu widzieć i słyszeć wszystko, co się działo na sali. Studentów swych znał doskonale ,pomimo że nie był zbyt dostępny ,co było spowodowane najczęściej brakiem czasu, a trudno sobie wyobrazić by go miał za dużo. Zdarzało się jednak czasem, że udało się nam zatrzymać go w seminarium po jakimś posiedzeniu i wyciągnąć na pogawędki. Zarówno na takich pogawędkach jak i na wykładach błyszczał erudycją we wszelkich dziedzinach i dowcipem. Wtedy też wychodziło na jaw, jak wiele o nas indywidualnie wiedział, czego od kogo oczekiwał. Pogawędki te, które zdarzały się rzadko, zawsze pozostawiały po sobie posmak sympozjonów.

W przekonaniach politycznych Tretiak był konserwatywny. Był również głęboko religijny. Te dwie cechy nie przeszkadzały mu absolutnie ani w pracy naukowej ani w stosunkach ze studentami. Tematy i ludzi traktował z bezstronnością naukowca. Zajścia na Uniwersytecie potępiał za gwałt, za marnowanie czasu studentów i profesorów, za złą wreszcie sławę zagranicą.

W stosunku do studentów *quantum* wiedzy było dla niego jedynym kryterium, bez względu na religię i przekonania studenta.

Straciliśmy w nim niestrudzonego i wielkiego naukowca, co w sytuacji obecnej jest dla nas szczególnie ciężkim ciosem. Ci, którzy wyszli z pod jego ręki, stracili przyjaciela, który przez lata po ukończeniu studiów interesował się ich losami, zachęcał do dalszej pracy, pomagał w otrzymaniu posad, wyrabiał stypendia; żaden trud nie był dla niego zbyt duży, gardził protekcjonizmem ale pomagał w sposób obiektywny i uczciwy.

Zbiegiem okoliczności piszę te słowa o Nim na pokładzie statku biorącego w tej właśnie chwili udział w wielkich zdarzeniach. Słychać sporadyczny huk dział — ani to nie melodramat, ani nie przesada — jestem tutaj tylko dzięki Niemu, dzięki Jego zachęcie i pomocy. Jestem paradoksalnie bezpieczny i wolny. A On tam zginął. Wiem, że zginął jak żył, w swej powadze, w dostojeństwie uczonego, z pogardą dla chamstwa, gwałtu i mordu.

Śmierć jego zostanie pomszczona — część tej zemsty może teraz właśnie się realizuje. Możeby można jeszcze wiele powiedzieć w niewielu słowach, ale za Jego ulubionym Szekspirem:

The weight of this sad time we must obey;
Speak what we feel, not what we ought to say.

Mgr. Marian W. Słabosz

NOTY I UWAGI

PREZYDENT WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

Najwybitniejszy dziś publicysta polityczny wśród piłsudczyków i doświadczony polityk p. Ignacy Matuszewski, b. Minister Skarbu, poświęcił nie dawno (2 sierpnia 1944) cały artykuł w *Nowym Świecie* postaci i postawie obecnego Prezydenta Rzeczypospolitej, który zresztą sam także wyszedł z obozu piłsudczyków. Oto najważniejsze ustępy w artykule p. Matuszewskiego:

"Za to, czy Polska ostoi się, jako Państwo niepodległe czy też niepodległość w tej wojnie straci, odpowiedzialny jest przed wszystkimi innymi Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Władysław Raczkiewicz.

On sobą przedstawia suwerenność narodu polskiego. Bez jego słabości i zgody naród polski suwerenności nie straci."

"Niema udanych dostojeństw. Niema pustych przysiąg. Przychodzi godzina, kiedy dostojeństwo każde, jak krzyż ciężki na barki się kładzie i dźwigać je trzeba mężnie, by honoru nie stracić. Przychodzi godzina i przysięga każda z przeszłości powraca i słowem każdym w twarz woła, a kto mu uchybi, krzywoprzysięzcą stać się musi. Taka godzina nadeszła dziś dla Władysława Raczkiewicza, Prezydenta Rzeczypospolitej. Przyjął godność być przedstawicielem narodu. Dziś okaże, czy jej był godzien. Stoi sam przed przeszłością i przyszłością. Honor każdego z nas, przeszłość każdego z nas, przyszłość każdego z nas, ma w swoim ręku. Nic go nie usprawiedliwi i nic go nie osłoni, jeśli o tym zapomni, że nie za siebie, ale za tysiąc lat historii co minęła i za wieki, które przyjdą, On dzisiaj albo prawdę powie, że Polska się nie poddaje, albo skłamie, że jest nikczemna.

Prezydent Władysław Raczkiewicz zna niezłomną wolę narodu polskiego. Nie trzeba jej dokumentami dowodzić, bo krwią jest zapisana. Ale jeśli ktoś formalnych potrzebuje aktów — tedy Prezydent Rzplitej ma na swoim stole testament Polski Podziemnej, nim do więzień moskiewskich przez nieopatrzność Rządu R. P. ponownie iść poczęła. Ma testament Polski Podziemnej przez te podpisany stronnictwa, z jakich Rząd obecny Rzplitej prawa swoje i ufność swoją wywodzi. Mówi ten testament:

"*Okres walki jeszcze trwa. Nie skończyła się ona jeszcze z odwiecznym wrogiem z zachodu, gdy wschodni nasz sąsiad, nie zważając na wielki wkład Polski do walki Demokracyj Świata o wolność, nie zważając na 4-o letnią bez przerwy walkę Polski z krwawym okupantem — sięga po odwieczne polskie Ziemie Wschodnie i chce narzucić Polsce swe wzory rządzenia....*

Naród Polski jest zjednoczony w stanowczym przeciwstawieniu się tym niesłychanym uroszczeniom wschodniego sąsiada tak, jak zjednoczony jest w walce z wrogiem zachodnim.

Naród Polski wierzy głęboko w zwycięstwo prawa i sprawiedliwości i zdecydowanie odrzuca wszelką myśl ustępstw terytorialnych na Wschodzie.

Naród Polski, zjednoczony w umiłowaniu wolności i w dążeniu do niepodległości, przeciwstawia się również jednomyślnie i zdecydowanie wszelkim próbom narzucenia nam wzoru rządzenia ze wschodu".

"Te postanowienia uchwaliła jednogłośnie, w podziemiach okupowanej Warszawy, Rada Jedności Narodowej dnia 15 marca, 1944 roku. Przekazała ją do Londynu, aby Rząd wolę tak wyrażoną wykonał, nie zaś, aby ją zlekceważył i złamał.

Prezydent Władysław Raczkiewicz zna więc wolę Narodu Polskiego. Ma zaś środki i prawa, aby nią pomiatać nikomu nie dozwolił. Prezydent Rzplitej przysięgał na Konstytucję jak wszyscy Ministrowie przysięgali. Konstytucja nie tylko nań obowiązki nakłada, ale daje mu środki, jak z nich się wywiązywać."

"Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nie rządzi. Ale jest odpowiedzialny za Rząd. Odpowiedzialny jest za to, kto rządzi i jak rządzi, albowiem zgoda Prezydenta Rzeczypospolitej konieczna jest, by ten a nie inny miał prawo imieniem Narodu Polskiego przemawiać. Prezydent Rzeczypospolitej odpowiedzialny jest za Rząd. Gdyby do Rządu zdrajców dopuścił, albo przy rządach ich pozostawił — za zdradę więcej od nich samych będzie odpowiedzialny.

Prezydent Rzeczypospolitej, Władysław Raczkiewicz, zna wolę Narodu Polskiego. Prezydent Rzeczypospolitej, Wład. Raczkiewicz, odpowiada za to, kto Rząd imieniem Państwa Polskiego sprawuje, albowiem w jego jest władzy niegodnych usunąć, a mężnym pieczęć Państwą Polskiego w ręce złożyć.

Dlatego więc za to, czy Polska ostoi się jako Państwo niepodległe, czy też niepodległość w tej wojnie utraci — odpowiedzialnym jest przed wszystkimi innymi Władysław Raczkiewicz."

INTERWENCJE

W ostatnich tygodniach znowu byliśmy świadkami nieodpowiedzialnej akcji niektórych dużych organów prasowych brytyjskich, głoszących *urbi et orbi*, że brytyjscy ministrowie nie wahają się interweniować w najbardziej wewnętrzne sprawy polskie.

Gdyby wiadomości te były prawdziwe, sytuacja z polskiego punktu widzenia przed stawiałaby się haniebnie, z brytyjskiego — tylko szkodliwie. Były już takie czasy w Polsce, kiedy obcy ambasadorowie rządzili się wewnątrz polskich instytucyj państwowych. Przeszły one do historii jako czasy hańby, poprzedzające i zapowiadające — czasy niewoli.

Nie ulega wątpliwości, że i Brytyjczykom zależeć powinno na tym, by Rząd polski był rządem niezależnym. Cóż bowiem po gromadce figur w Londynie, gdyby świat doszedł do przekonania, że reprezentują one nie prawa polskie, ale interesy brytyjskie? Jak ma Rząd sowiecki szanować Rząd polski, skoro prasa brytyjska informuje go autorytatywnie, że sznurki w tym Rządzie pociągają ministrowie brytyjscy? Nie jest przecież możliwe, ani w ogóle do pomyślenia, by celem polityki brytyjskiej mogło być ułatwienie Rosji pochłonięcia Polski! Stanowczo nie! A w takim razie niezgrabność niektórych dziennikarzy angielskich jest monstrualna, a tępota ich bezgraniczna. Przytłoczony nawałem pracy kierownik brytyjskiej polityki zagranicznej, którego takt i elegancja personalna stały się przysłowiowe, nie ogarnia zapewne dotąd tego aspektu zagadnienia.

Mówiąc cały czas o zagadnieniu na podstawie akcji prasy części prasy londyńskiej (*The Observer, News Chronicle*), a więc mówiąc cały czas hipotetycznie i teoretycznie, nie możemy powstrzymać się od uwagi, że winni są nie tylko ci co interweniują, ale i ci co interwencje przyjmują. Niemcy w Polsce też na każdym kroku interweniują przeciw polskiej niezależności. I nawet pistoletami grożą. I strzelają. I dręczą. I torturują. Ale Polacy nie ustępują! Więc jak wytłumaczyć brak elementarnego męstwa w Londynie?

Niestety, nie należy wykluczać, że nie tylko mają miejsce interwencje brytyjskie u Polaków ale i interwencje polskie u Brytyjczyków — o interwencje u Polaków. Czymże bowiem nazwać te oficjalne publiczne ataki jednych oficjalnych osobistości polskich na inne oficjalne osobistości polskie?

Daily Telegraph z dnia 6 września doniósł o konflikcie z powodu Rozkazu Dziennego Nr. 19 Generała Sosnkowskiego, polskiego Naczelnego Wodza:

"Mr Eden was informed that the Order was issued without the Polish Government being informed *and that its intention was to embarrass the Prime Minister and his colleagues.*"

Oczywiście mowa o polskim Premierze.

Mówili mi nie dawno znajomi Anglicy, popierający zresztą politykę swojego Rządu, że te *publiczne* rozgrywki polskie, to używanie forum publicznego brytyjskiego do załatwiania polskich porachunków wewnętrznych, przyprawia ich o mdłości i wstręt.

My zaś dodajmy od siebie,że rozporządzanie przez prasę brytyjską wewnętrznymi poufnymi dokumentami z polskiego wewnętrznego życia politycznego na szczeblach rządowych (*The Observer* z 24 września 1944) musi napełniać Polaków najwyższym niepokojem. Jakiż odpowiedzialny polityk zechce cokolwiek powierzyć środowisku, z którego wiadomości wyciekają natychmiast na rynek publiczny i międzynarodowy? Nie wymagajmy za wiele od Anglików przy takim poziomie polskim. Jest bowiem jasne, że skoro we współpracy wzajemnej polscy politycy oficjalni nie są w stanie wznieść się na poziom angielski, Anglicy muszą się zniżyć na poziom polski. Następuje assymilacja w dół.

WYKRĘTY

W dniu 22 września 1944 Rada Ministrów uchwaliła zwrócić się do Prezydenta R.P. o zwolnienie Generała Kazimierza Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Dziennik Polski z dn. 26 września 1944 podał coś w rodzaju komunikatu pół-oficjalnego, z którego wynika, że Rada Ministrów przedsięwzięła swój krok przeciwstawiając się niektórym ustępom Rozkazu Nr. 19 Naczelnego Wodza, wydanego w dniu 1 września 1944,ogłoszonego zaś w parę dni później. Nie omawiając w tej chwili całości zagadnienia, które należycie oświetlimy w czasie najbliższym,nie możemy nie przypomnieć *Dziennikowi Polskiemu* i autorom jego komunikatu, że w dniu 31 sierpnia 1944 Premier Mikołajczyk złożył oświadczenie, opublikowane następnie w całej prasie brytyjskiej mniej lub więcej obszernie, iż zamierza udać się do Warszawy i utworzyć tam nowy rząd, "prowizoryczny" jak mówił, i że ten nowy rząd zniesie w ogóle *instytucję* Naczelnego Wodza.

Skoro tak publicznie dano wyraz walce z instytucją zapewniającą jedność i samodzielność Polskich Sił Zbrojnych, i to walce zaczętej o wiele wcześniej, więc poco te wykręty, że chodzi o coś innego i o wiele późniejszego? !

BRYTANIA LUDOWA

W ostatnich dwu latach polskie koła rządowe propagowały zawzięcie wśród swoich i obcych t.zw. *Program Polski Ludowej*, opracowany w Polsce przez nieliczne grona inteligentów lewicowych — z zachęty i za wskazówkami ludowców i socjalistów w Londynie.

Ciekawe będzie porównanie tego programu z programem brytyjskich związków zawodowych, zgrupowanych w potężnym *Trade Union Congress*. Ciekawe zwłaszcza co do metod.

W *The Times* z 24 sierpnia 1944 znajdujemy dość szczegółowe sprawozdanie z posiedzenia Rady Generalnej T.U.C. w Londynie, przygotowującej wnioski na pełny kongres organizacji, przewidziany na 16 października b.r. w Blackpool.

"Projekt planu nacjonalizacji — czytamy w *Times* — uwzględnia przede wszystkim, jak opowiadają, ustanowienie publicznej własności takich przedsiębiorstw przemysłowych, które dostarczają paliwa i energii, a więc węgla, gazu i elektryczności, a także większości przedsiębiorstw transportu wewnętrznego.

"Argumentuje się, iż opinia publiczna w oparciu o doświadczenie wojenne, wypowiada się stanowczo za przeniesieniem na rzecz Państwa własności kopalń węgla i kolei oraz że te i pokrewne gałęzie gospodarstwa wybrane zostały do nadania im bezpośrednio charakteru własności publicznej ze względu na ich niezaprzeczalny wpływ na większość innych przemysłów kraju i na rolę którą muszą odegrać w jakimkolwiek ogólniejszym schemacie gospodarczego planowania. Wierzy się, iż te zasadnicze przemysły należycie kontrolowane będą miały znaczny wpływ na żywotne kwestie, jak umiejscowienie i planowany rozwój przemysłu."

"Wysoko na liście kolejności do wprowadzenia następnie kontroli publicznej znajdują się, jak mówią, przemysły żelaza i stali, gdzie już dokonano, w wyniku konieczności, wojennych, znacznego scałkowania. Te możliwości oraz w przemyśle tekstylnym są w tej chwili w fazie studiów.

"Rozumieć należy, iż proponuje się ustanowienie publicznych korporacyj dla przemysłów, które objęte są wnioskami o nacjonalizacji, że korporacje te składałyby się z członków mianowanych przez Ministra i przedstawicieli robotników, że zadaniem korporacyj byłaby kontrola danego przemysłu czy danej gałęzi przemysłu. *Tam gdzieby miało być dokonane przeniesienie własności na rzecz Państwa, podstawą kompenzaty winny być zyski za pewien określony czas.*"

Nie będziemy porównywali w notatce prasowej programu rzeczowego reform w Wielkiej Brytanii i koniecznych reform w Polsce. Porównanie takie wymagałoby obszerniejszego studium. I tak naprzykład w Wielkiej Brytanii toczą się jeszcze dyskusje czy koleje mają stanowić własność Państwa, podczas gdy w Polsce należały do Państwa od dawna.

Natomiast można w tak krótkiej drodze, i należy, porównać *zasady*, na których reformy te mają się oprzeć, z zasadami głoszonymi przez *koła lewicowe* polskie.

Brytyjczykom ze związków zawodowych ani przez myśl nie przejdzie, że można by komuś odebrać jego własność na zasadzie dobra publicznego i nie dać mu za to godziwego odszkodowania. Brytyjczyk uważałby, że takie wywłaszczenie bez odszkodowania *moralnie* jest grzechem, *prawnie* rabunkiem, *ekonomicznie* zaś głupstwem. Jak może rozwijać się ekonomicznie społeczeństwo, którego życie gospodarcze opiera się nie tylko o program robienia z żebraków ludzi zamożnych, ale i z ludzi zamożnych — żebraków?

Tymczasem w t.zw. *Programie Polski Ludowej*, wydanym w Londynie po polsku i po angielsku staraniem kół lewicowych polskich, czytamy:

"*Wielkie obszary ziemskie zostaną wywłaszczone bez odszkodowania*".

Różnice między programem Lewicy polskiej i Lewicy brytyjskiej staną się tym bardziej widoczne, skoro uwzględnimy także *drogę* do reform. Kongres T.U.C. w Blackpool uchwali swój program i zakomunikuje go następnie Labour Party. Ta zaś przyjmie prawdopodobnie ten program jako podstawę do najbliższych wyborów. Jeżeli kraj wybierze większość Labour Party, oznaczać to będzie, że przyjmuje jej program. Rząd Labour Party przystąpi do powolnej i gospodarczo skalkulowanej serii reform. Jeżeli Labour Party przegra, jej program reform nie będzie realizowany. Prawdopodobnie rząd konserwatywny będzie sam realizował niektóre z tych reform, tylko jeszcze wolniej i rozważniej. Dojrzewać zdaje się sprawa przejęcia na własność publiczną kopalń węgla bez względu na kierunek rządu. Ale zasady odszkodowania właścicieli kopalń już zostały przez Parlament przyjęte, jeszcze przed przyjęciem samej zasady wywłaszczenia. W każdym razie nie będzie w W. Brytanii ani rewolucji, ani faktów dokonanych, ani rabunku pod przykrywką dobra publicznego. Mniejszość podda się woli większości, a większość kontroli całości.

Tymczasem w *Programie Polski Ludowej* wspomina się delikatnie o walce fizycznej "przeciw wszelkim reakcyjnym elementom wewnątrz narodu." Oznacza to, że gdyby nawet większość Narodu nie godziła się z programem i metodami "*Polski Ludowej*", lewicowa mniejszość chwyciłaby za broń. Jakiż postęp i rozwój cywilizacyjny jest możliwy pod ciągłą groźbą rozwalania głów?

Mógłby może ktoś przypuszczać, że były to tylko rozważania czysto akademickie, skoro kraj znajdował się pod okupacją niemiecką, a naród dręczony był moralnie i tępiony fizycznie. Niestety, tak nie było. Wszystkie głupstwa wypowiadane lekkomyślnie przez urzędową lewicą polska, były starannie notowane w Moskwie. Dzisiaj na terenach zajętych przez wojska sowieckie i pod osłoną ich bagnetów przeprowadza się "reformę rolną". Nie wiadomo nawet czy Rząd polski składa w tej sprawie jakieś szczegółowe protesty. Gdyby je składał, co jest jego obowiązkiem, może od Moskwy usłyszeć odpowiedź, że jest to tylko realizacja "demokratycznego" programu polskiego. Świat zaś zachodni, nawet lewicowy, tym łatwiej będzie mógł umyć ręce, im bardziej program lewicy polskiej będzie oddalał się od Europy i zbliżał do Moskwy.

Kto głosi hasła wojny *domowej*, ten nie może się dziwić, skoro hasła te podniesie i z nimi na sztandarach wkroczy wróg zewnętrzny.

PRZYCZYNKI DO 1941 ROKU

Nie zaniedbując żadnej sposobności, by zebrać świadectwa odnoszące się do początków błędnej polityki rządów polskich na emigracji wobec Rosji sowieckiej, notujemy tu jeszcze kilka relacyj.

Pierwsza z nich zaczerpnięta została z książki korespondenta amerykańskiego w Moskwie, p. Henry C. Cassidy, który w książce swojej "*Moscow Dateline* 1941-1943", nawiązując do t.zw. "konferencji kawiorowej" (Delegacje brytyjska i amerykańska w Moskwie z końcem września 1941, z Lordem Beaverbrookiem i Averellem Harrimanem na czele, w sprawie dostaw wojennych dla Rosji), tak pisze:

"Konferencja miała dziwnie pokłosie, mało rozgłaszane,ale bardzo znamienne. Wynikiem jej było doprowadzenie po raz pierwszy do szczerej dyskusji między Związkiem Sowieckim i innymi Zjednoczonymi Narodami na delikatny temat celów powojennych. Właśnie Związek Sowiecki podjął inicjatywę otwarcia dyskusji. Historia, jak ją opowiadano szeptem w kołach dyplomatycznych, opiewała:

"Na jednym ze swoich nocnych posiedzeń z Lordem Beaverbrookiem i Harrimanem w czasie konferencji Stalin poprosił Beaverbrooka o zarys planów brytyjskich na czas pokoju. Beaverbrook, uwziąwszy się na inne sprawy, odsunął pytanie na bok uwagą, że na ten temat poinformuje Stalina później, i natychmiast o wszystkim zapomniał. Ale Stalin nie zapomniał.

"W jakiś czas po konferencji Stalin zapytał o to samo Crippsa. Ambasador, nie poinformowany o poprzedniej rozmowie, mógł tylko odpowiedzieć, iż poradzi się swego rządu i Beaverbrooka. Posłał więc telegram do Londynu i otrzymał odpowiedź, iż zostanie mu przedłożone memorandum Harrimana, zajmujące się tą kwestią. To jednak wymagało czasu.

"Tymczasem Stalin zaczynał odnosić wrażenie, iż Brytyjczycy unikają problemu. Chłód owionął stosunki brytyjsko-sowieckie.

"Żeby zaradzić sytuacji, upewnić Stalina co do brytyjskich zamiarów i zacząć wreszcie dyskusje o świecie powojennym, w grudniu 1941 r. przybył do Moskwy Anthony Eden, Minister Spraw Zagranicznych. Przybycie jego stanowiło jedno z najważniejszych posunięć w czasie wojny. W istocie rzeczy Związek Sowiecki został zmuszony przez Niemcy do wojny po stronie Narodów Zjednoczonych. Czy rodzina narodów sprzymierzonych pozostanie zjednoczona i po wojnie, zależało w znacznej mierze od takich rozmów, jak te. Eden zrobił dobry początek."

Tu następuje tekst komunikatu z rozmów Stalin-Eden, ogłoszonego wtedy w prasie. Tekst ten opuszczamy, gdyż składał się z ogólników, i notujemy tylko jego ton optymistyczny. Oto co dalej pisze o tych rozmowach p. Cassidy:

"Widziałem Edena po rozmowach w jego pokoju w Hotelu Narodowym; był on optymistyczny jak sam komunikat. Było to późne popołudnie, ponieważ odsypiał on skutki jeszcze jednego z tych kremlińskich bankietów, które tradycyjnie już zamykają takie spotkania. Wyglądał jednak świeżo i żywo. Tu nie był to Eden w swoim czarnym kapeluszu-Homburgu i ze zwiniętym parasolem, ale upierwotniony Eden w wysokich futrzanych bronzowych butach, bronzowym swetrze i czarnym ubraniu, z opadającą białą chusteczką z górnej kieszeni marynarki. A jednak nosił jeszcze swój znany, raczej chłopięcy, uśmiech.

"Oświadczył, że poświęcił "znaczny zasób czasu" tematom "pokoju i okresu powojennego" i że miał wrażenie, że rozmowy były "bardzo pożyteczne", zwłaszcza iż stanowiły one pierwszą bezpośrednią wymianę poglądów na te tematy między Stalinem i członkiem brytyjskiego rządu. Obie strony, mówił, wyjaśniły jakie są ich stanowiska wobec istniejących zagadnień. Widoczne było, iż był zadowolony z rezultatów, a były też poważne przyczyny do wierzenia, że i Stalin był zadowolony.

"Nie osiągnięto żadnego porozumienia w czasie rozmów, gdyż nie zamierzano go osiągnąć. Eden i Stalin jednakże rozprawiali bardzo konkretnie i szczegółowo o powojennych celach swoich rządów. Eden nie chciał i nie mógł wyjawić, czego domagał się Stalin. Później, dano mi do zrozumienia, Stalin nie zaznaczył żadnych ambicyj wobec żadnych części Iranu lub Cieśnin Tureckich, lecz jasno dał wyraz zamiarom Związku Sowieckiego zatrzymania tego co Związek dzierżył w czerwcu 1941, mając na myśli trzy państwa bałtyckie Łotwy, Litwy i Estonii oraz wcielone do Sowietów terytoria poprzednio należące do Finlandii, Polski i Rumunii. Dowiedziałem się, że plany sowieckie "pasowały nie najgorzej" ("dovetailed not too badly") do brytyjskich, wyłożonych przez Edena.

"Z Moskwy Eden powrócił do Londynu w celu złożenia sprawozdania Gabinetowi brytyjskiemu i konsultacji Dominiów i innych narodów zjednoczonych. Widocznie nie wszystko szło tam tak dobrze. W każdym razie nie można było szybko załatwić interesu tego rodzaju".

Tyle p. Cassidy. Z polskiego punktu widzenia jasne jest jak na dłoni, iż p. Eden nie mógłby wyrażać, słowami czy zachowaniem się, aprobaty na zabór przez Związek Sowiecki ziem polskich, gdybyśmy wygrali dyplomatycznie sprawę w lipcu 1941 w rokowaniach ze Sowietami. Przekleństwo złego czynu popełnionego przez rząd Sikorskiego, długo jeszcze będzie ścigać Polskę.

*

Innym przyczynkiem do sprawy polskiej w 1941 r. jest relacja b. min. Ignacego Matuszewskiego, ogłoszona w jednym z jego artykułów w *Nowym Świecie* (New York, 26 kwietnia 1944), którą tu cytujemy:

"Kiedy w lipcu 1941 roku generał Sikorski prowadził w Londynie rokowania z Sowietami — wówczas okazało się możliwe otrzymanie od Rządu Stanów Zjednoczonych ważkiej deklaracji, potwierdzającej prawa Polski do całości jej ziem. Deklaracja ta miała się ukazać dnia 31 lipca 1941 r. Niestety, gen. Sikorski, nie odczekawszy skutku zabiegów dyplomatycznych w Waszyngtonie — podpisał był, pod naciskiem angielskim, przeklętej pamięci pakt z Majskim 30 lipca, o 24 godziny za wcześnie."

Fakty relacjonowane przez p. Matuszewskiego znane były w polskich kołach politycznych już dawniej, nigdzie jednak dotąd nie ogłoszone, o ile nam wiadomo. Więc utwierdzamy tu relację jeszcze raz w druku. Rok 1941 mógł był wypaść inaczej, gdyby Sikorski nie słuchał był niewolniczo Edena, dążącego wtedy nie do załatwienia sprawy polsko-rosyjskiej, ale do pozostawiania sobie pola dla przyszłych manewrów. P. Eden pilnował oczywiście interesów brytyjskich, gen. Sikorski służył także . . . interesom brytyjskim przede wszystkim, dopiero potem zaś polskim.

TEHERAN

Ciekawa wzmianka o konferencji teherańskiej z grudnia 1943 znalazła się ostatnio w *The Times* (16 września 1944), w przeglądzie międzynarodowych spotkań premiera Churchilla w czasie tej wojny. Oto ta wzmianka:

"*Nastąpiła szeroka dyskusja nad przyszłością Europy. Zgodzono się, że Polska ma otrzymać kompensatę na zachodzie i północy za terytoria odstąpione na wschodzie.*"

Ciekawe również jest, iż korespondent dyplomatyczny *The Times* wyliczając w tym samym artykule szczegółowo wyniki polityczne pierwszego spotkania Churchilla z Rooseveltem w sierpniu 1941 zapomniał całkowicie o Karcie Atlantyckiej! Jest to objaw tak niebywałego zaniku pamięci, iż powinien być zbadany klinicznie — gdyby były po temu warunki.

KSIĄŻKA

CHRISTOPHER HOLLIS — KRYZYS PIENIĄDZA

DRUGA wojna światowa jest tak olbrzymią rewolucją gospodarczo-społeczną, że niewiele doświadczeń przedwojennych w zakresie ekonomii będzie miało swoją pełną wartość po jej zakończeniu. Tym nie mniej na kształtowanie stosunków powojennych, poza nowymi sytuacjami i nowymi doświadczeniami wpływ pewien będą miały również myśli przedwojenne, oczywiście tylko te, których całkowitego nonsensu lub anachronizmu nie udowodnił przebieg wydarzeń.

Jeszcze kilka zaledwie lat przed tą wojną wydawało się, że istnieją tylko dwie alternatywy ekonomiczne: kapitalizm albo marksizm. Lecz już na kilka lat przed wojną poważny odłam myśli europejskiej dostrzegł wspólne obu tym pozornie całkowicie sprzecznym kierunkom cechy i wspólne dziewiętnastowieczne dziedzictwo.

Owo śmiałe, nowe myślenie niemal nie dosięgło wysp brytyjskich. Myśl ekonomiczna angielska, niezwykle silnie związana z kapitalizmem, ewaluowała gruntownie ale ostrożnie jakby nieświadomie w nowych kierunkach. Praktyka często wyprzedzała tu teorię.

Jest rzeczą charakterystyczną, że nowe śmiało rewizjonistyczne głosy wychodziły niema wyłącznie z grona katolików brytyjskich, żyjących pod znacznie mniejszym gniotem myślenia kalwinistyczno-kapitalistycznego, jakie cechuje myśl angielską od stuleci.

Mogłoby się pozornie wydawać, że związek między myślą religijną a sprawami walutowymi jest szczególnie odległy. W istocie jest on dość bezpośredni. Nie darmo w Piśmie przeciwstawiono bezpośrednio Boga i Mamonę. Dowodem, że tak jest może służyć książka katolickiego ekonomisty angielskiego Krzysztofa Hollisa: KRYZYS PIENIĄDZA.[1])

Z niezwykłą jak na tutejsze stosunki odwagą i niezależnością odsłania on tajniki zakulisowych machinacji bankierskich i wpływ ich na całe życie publiczne. Rozbija też całkowicie mit złota i wykazuje, że ta Arka Przymierza kapitalizmu jest pusta w środku.

Nie zamierzamy tu streszczać bodaj nawet w przybliżeniu dowodzeń autora, ponieważ pracę jego przetłumaczono świeżo na język polski i wydano w bardzo przyzwoitej szacie zewnętrznej, tak, że każdy interesujący się tymi tematami, ma ją łatwo dostępną.

Niektóre tezy autora wydają się wątpliwe, jak np. projekt płacenia bezrobotnym zasiłków w tej samej wysokości jakby pracowali lub wiara w możliwość nieograniczonego powiększania dobrobytu na ziemi. Tezy te brzmią tym naiwniej, że pochodzą od katolika, który powinien bardziej niż inny ekonomista zwracać uwagę na czynniki psychologiczne i na nieuniknione pierwiastki duszy ludzkiej wynikające z jej skażenia przez grzech pierworodny. Ekonomia jest w znacznej mierze nauką psychologiczną i nie wszystko, co jest słuszne lub możliwe z punktu widzenia matematyki materii martwej jest takie same z punktu widzenia duszy ludzkiej. Odnosi się wrażenie, że u autora jest to pewien rodzaj reakcji na kalwinizm jego rodaków, wedle którego bogactwo jest przejawem łaski bożej a ubóstwo kary za grzechy, co razem znakomicie godzi się z wiarą w predestynację. Reakcja ta idzie jednak za daleko, jeśli autor sądzi, że ludzie będą pracować z samej tylko wewnętrznej potrzeby pracy. Po dowody, że tak nie jest nie trzeba sięgać nawet do społeczeństw pierwotnych. Wystarczy znać nieco stosunki w krajach południowej i wschodniej Europy, gdzie potrzeby nie są tak wyśrubowane jak w Anglii a niedostateczne zatrudnienie nie

[1]) Christopher Hollis, *Kryzys Pieniądza.* Londyn 1944. F. Mildner & Sons, Herbal Hill, London, E.C.1. Stron 136.

pociaga za sobą tak bezpośrednich konsekwencji jak wśród robotników przemysłowych kraju zindustrializowanego.

Ale to raczej dygresja. Książka jest interesująca i co najciekawsze, choć pisana aktualnie w związku z przemijającymi wydarzeniami lat trzydziestych, wnioski jej przetrwały w wielu wypadkach zwycięsko burzę dziejową i przewrót.

W przedmowie poprzedzającej tłumaczenie polskie inż .A. Doboszyński wskazuje na raczej ubogą literaturę polską w kwestiach monetarnych. Wymieniając parę poważniejszych prac, pomija jedną publikację, która i tematem i sposobem ujęcia i wnioskami niezwykle przypomina książkę omawianą, a mianowicie Jerzego Zdziechowskiego "Mit Złotej Waluty", wydany w tym samym mniej więcej czasie.

P. J.

Walcząc w cudzoziemskich krajach o niepodległość i całość Polski i przyczyniając się krwią przelaną do wyzwolenia z pod obcej przemocy ujarzmionych narodów Europy, by i polski Naród mógł powstać do wolnego życia, zginęli w ostatnich miesiącach na różnych frontach europejskich następujący żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, w życiu cywilnym działacze i członkowie Stronnictwa Narodowego

ś. ✠ p.

PPOR. JAN AU
PPOR. STEFAN CHACHULSKI
PPOR. WACŁAW M. DĘBICKI
PPOR. JÓZEF GRABOWIEC
PPOR. ROMAN MAZUREK
PPOR. JAN SUCHECKI
PCHR. MIKOŁAJ ORSINI
ST. SZER. ROMAN WOJNO

NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE

za spokój ich dusz odprawione zostanie w Kościele Polskim w Londynie (2, Devonia Road, N.1) w dniu 6 października 1944 r. (piątek) o godzinie 9.30 rano — o czym zawiadamia

STRONNICTWO NARODOWE

DŁUG WOBEC RANNYCH

Otrzymujemy następujący apel:

Czy dziwnym zbiegiem okoliczności, czy dzięki rozmyślnym planom pisanym w wielkiej księdze przeznaczeń, właśnie teraz, kiedy przeciw Polsce sprzysięgły się wszelkie złe siły, a wszelkie wołania zdają się pozostawać bez echa — przybija do Wielkiej Brytanii pierwszy transport Polaków rannych z Włoch.

Ci bohaterowie z pod Monte Cassina, Piedimonte, Ancony, to obok płonącej, krwią zlanej Warszawy, obok bohaterskich szeregów dywizji w Normandii — jeszcze jeden żywy dowód, że Polska walczy, walczy nieugięcie i jest niestrudzonym Aliantem, który od pierwszego dnia chwycenia za broń do dziś nie szczędzi dowodów wierności.

Żołnierz polski od 1939 roku walczy wszędzie: w Kraju, na frontach, w powietrzu i na morzu, za drutami obozów jenieckich. Do walki staje gotów, odważnie idzie wprzód, nie zna trudu ni lęku, daje z siebie wszystko często życie, lecz chce wiedzieć, że sprawa za którą ginie jest wielka i święta dla wszystkich; chce wiedzieć, że bije się o Polskę, a zdobywając piędź ziemi czy to francuskiej czy włoskiej — zbliża się do ziemi własnej ojczystej, do Wilna, Lwowa, Warszawy, Poznania, Krakowa.

Żołnierz polski chce i ma prawo wiedzieć, że kiedyś i on dobije do własnego brzegu, chce czuć się tak, jak czuli się Anglicy współtowarzysze walk we Włoszech, którzy razem z naszymi rannymi przybyli do Wielkiej Brytanii. Patrzyłam na nich, byli zmęczeni, ranni, lecz jakże szczęśliwi, cieszyli się pierwszą filiżanką herbaty wypitej na własnej ziemi, wiedzieli, że niedługo zobaczą drogie im twarze i znane miejsca.

A nasi chłopcy? Przybili wprawdzie do gościnnych im brzegów, lecz mimo wszystko obcych. Nie znają języka, ni kraju, niektórzy tylko z nich byli w Anglii przedtem. Większość z nich przeszła przez Rosję i wprost ze Wschodu poszła do walki. Prawie wszyscy są ciężko ranni, potracili oni ręce, nogi, maja dotkliwe obrażenia głów, przeszli wiele, lecz pomimo to ich stan moralny jest bardzo dobry. Wszyscy uśmiechnięci, pogodni, cisi, uprzejmi; ze spokojem znosili długą podróż do szpitala.

Ranni nasi są pełni dobrej wiary. przyszli tu z ufnością, o trudach swoich mówią mało. Są oni ze wszystkich stron Polski, wspominają serdecznie kolegów, dowodców i tych wszystkich, których zostawili we Włoszech. Chcą czemprędzej wyzdrowieć i mają nadzieję, że znów będą mogli pracować dla Polski. Poznańczyk obok Wileńczuka, Poleszuk koło Warszawiaka. Przeważnie są bardzo młodzi. Gdy się zapytywałam co robili przed wojną, często padała odpowiedź "uczyłem się". I tak uczniowie, rolnicy, robotnicy, zawodowi podoficerowie i oficerowie wszyscy razem przyjechali tutaj, gdzie jest ich ostatni etap leczenia. Gdyby nie potrzeby protez, w większości możnaby ich uznać już za zdrowych, wyglądają bowiem stosunkowo dobrze i tym dotkliwiej odczuwają niemożność chodzenia, lub brak ręki.

Wszyscy chcą się uczyć angielskiego, chcą mieć czas zajęty. Proszą o książki, gazety, o gry, któreby urozmaiciły monotonię życia i czekanie na jeszcze jedną operację lub protezę. Rozumiem ich dobrze, gdyż jakże odmienne jest ich obecne życie w szkockim szpitalu od życia słonecznej Italii w gorączce walki i przejść. Życie ich dotąd było urozmaicone, żyli w pewnego rodzaju podnieceniu nerwowym, a więc najpierw szereg zwycięskich walk, bitwy, sukcesy, potem rana, dotkliwy ból, pierwsze szpitale, oczekiwanie podróży do Anglii i wreszcie ostatni przystanek w Szkocji.

Obowiązkiem naszym, społeczeństwa polskiego w Anglii, jest sprawić, by przystanek ten okazał się im miły i bliski. Niech odczują naszą opiekę, nasze serca, które choć w drobnej części niech spłacą im dług wdzięczności, jaki wszyscy wobec nich zaciągnęliśmy.

Samarytanka.

KOMUNIKĄTY

NABOŻEŃSTWO PAŹDZIERNIKOWE

W miesiącu październiku katolicki nasz naród zbierał się w kościołach na nabożeństwo różańcowe.

Obecne położenie Polski skłania nas do wzmożonych modlitw do Boga, za wstawiennictwem N. Marji Panny, o ratowanie zagrożonej wiary i bytu narodowego.

Aby tego dokonać, odbywać się będzie w październiku b.r.

NABOŻEŃSTWO ROŻAŃCOWE

raz w tygodniu ,t.j. w każdą sobotę o godz. 7 wiecz. w Brompton Oratory, w kaplicy po prawej stronie wielkiego ołtarza.

Początek w sobotę dnia 30 września, o godz. 7 wiecz.

Uprasza się o jaknajliczniejszy udział.

TREŚĆ Nr. 78 "Myśli Polskiej":

NARODY ZJEDNOCZONE? ORIENTACJE — Proteusz. CHŁOPI, LUDOWCY I REFORMA ROLNA W POLITYCE PARTII KOMUNISTYCZNEJ. REKONSTRUKCJA RZĄDU. NA ZGON STRĄCONEGO ANIOŁA — Zygmunt Nowakowski. ANDRZEJ TRETIAK — Mgr. Marian W. Słabosz. NOTY I UWAGI. KSIĄŻKA. DŁUG WOBEC RANNYCH. KOMUNIKATY.

MYŚL POLSKA

Wychodzi dwa razy w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 6/- lub $2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów): 12/- lub $4.